

29.30.12.8

Rok XII.

WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK 1936

Nr 5

WYCHOWANIE PRZEDSZKOLNE

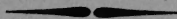
CZASOPISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM WYCHOWANIA DZIECI
W WIEKU PRZEDSZKOLNYM



O R G A N

TOWARZYSTWA WYCHOWANIA PRZEDSZKOLNEGO

WYCHODZI RAZ NA 2 MIESIĄCE



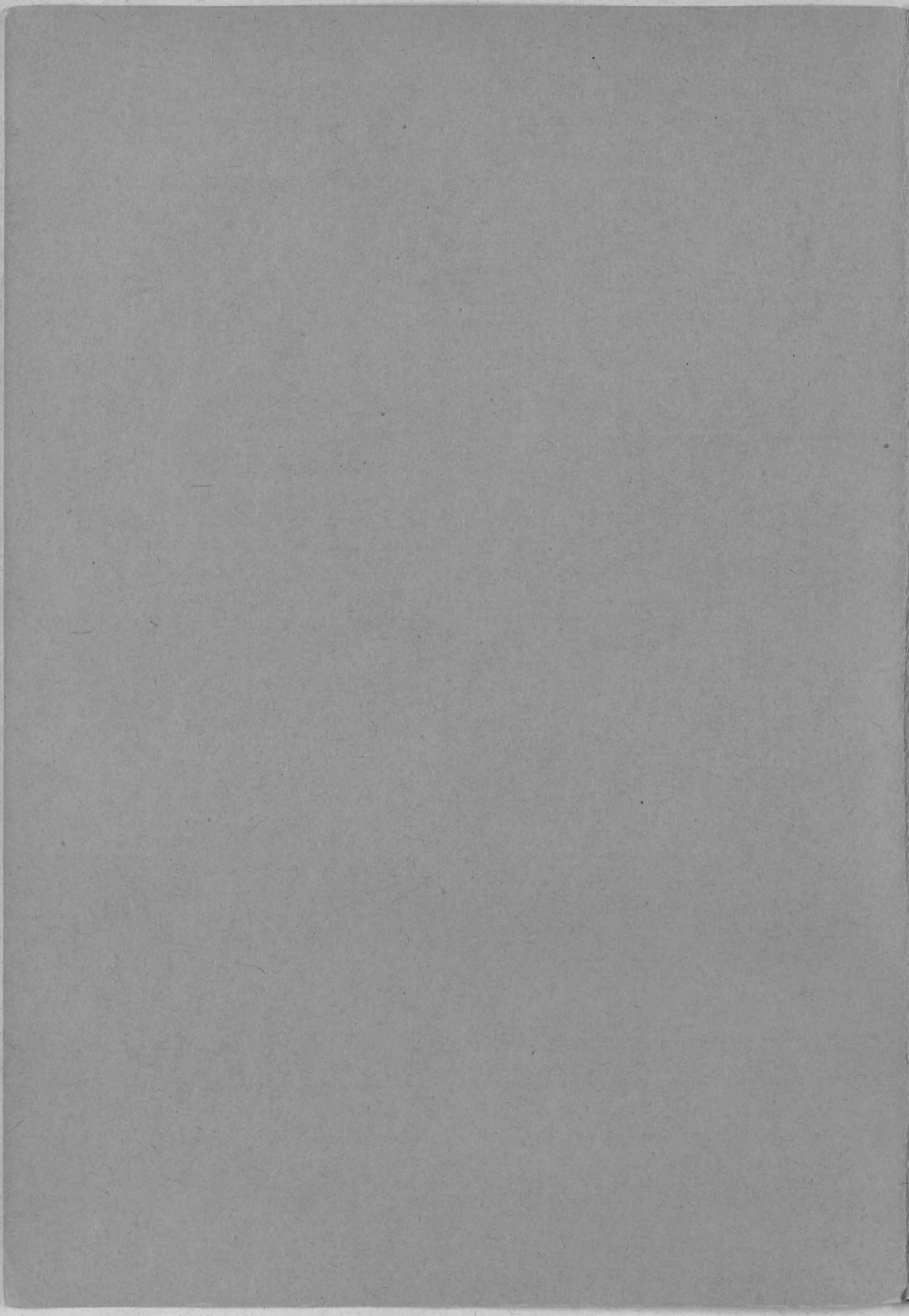
W A R S Z A W A

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: ALEJA 3-GO MAJA Nr 16, m. 6. OD 2 DO 4 P.P

TELEFON 251-81. KONTO P. K. O. 12.680.



544
wych



**Trzeci termin egzaminu dla niekwalifikowanych wychowawczyń został
wyznaczony przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Warszawskiego
na 21 września 1936 r.**

MYŚLI PRZEWODNIE MOJEJ METODY.

Rozważać potrzeby dziecka, znaczy czynić mu zadość w sposób taki, aby jego życie mogło rozwinać się w zupełności.

W dawnych czasach celem, do którego zdążano, było przygotowanie dziecka do życia społecznego, w które ono musi pewnego dnia wstąpić.

Staraliśmy się przeto uczynić zeń naszego naśladowcę, ujarzmić jego wolę, nagiąć jego twórczość do naśladownictwa i nauczyć je tego, co uważaliśmy za konieczne w naszym cywilizowanym środowisku.

To bezpośrednie i przymusowe przygotowanie do życia społecznego, które nie było normalnym życiem społecznym dziecka, miało w wyniku szereg błędów w postępowaniu, wyniesionych z dawnej szkoły i dawnego wychowania rodzinnego.

Dziecko nie bywa brane pod uwagę jako żyjąca osobowość ludzka i jako członek społeczeństwa. A przecież dziecko jest jednostką wolną, jak wszystkie istoty ludzkie. Ma w sobie twórcze cechy, które mogą się rozwinać jedynie zgodnie z ludzką godnością. Dziecię jest

nie tylko małym rozkosznym ciałkiem, które staramy się karmić, myć, pielęgnować i odziewać. Niewola rozwija w niem, tak samo jak we wszystkich, uczucia niemocy i upokorzenia.

Środowisko społeczne, stworzone dla nas, nie jest przystosowane do dziecka, ani zrozumiałe dla niego. Dzisiaj zbyt dobrze są znane fatalne następstwa szkoły dla dziecka, nie tylko pod względem fizycznym, lecz głównie pod względem moralnym. Kształcenie charakteru jest istotnie zagadnieniem, którego współczesna pedagogika nie rozstrzygnęła. W rodzinie panuje przeoczenie zasadnicze: uwzględnia się cel życia przyszłego a nie chwilę obecną, to jest potrzeby życia. W najlepszym wypadku, w rodzinach bardziej postępowych zaczyna się wspierać fizyczne życie dziecka: racjonalne jego odżywianie, kąpiele, ubranie i świeże powietrze są ostatnim słowem postępu.

W potrzebach dziecka nie uwzględnia się jego człowieczeństwa, nieodczuwanych potrzeb duszy. Człowiek, ukryty w dziecku, pozostaje nieznan.

Widzimy w dziecku jedynie reakcję jego obrony i energiczny protest, krzyki

i płacz, kaprysy, nieśmiałość, nieposłuszeństwo, kłamstwo, egoizm, chęć niszczenia. Popelniamy tedy błąd, przyjmując chęć obrony za charakterystyczną cechę psychiki dziecka i kwapiemy się poprawić je nieraz przez surową karę nawet cielesną. Niekiedy jednak takie reakcje są przejawem początku choroby duszy, a także chorób systemu nerwowego, które nie przyspieszą rozwoju przyszłej osobowości. Wiemy dobrze, że pora kształtowania się osobowości jest najważniejsza w życiu, że duchowe zakażenia są szkodliwe dla duszy kształtującego się człowieka. Wychowanie przeto dziecka jest sprawą najważniejszą dla przyszłości ludzkości.

Czułość i subtelność w obchodzeniu się z duszą dziecięcą jest sprawą sumienia; powinniśmy koniecznie stać się jasnowidzącą i zmienić metodę postępowania.

Zamiast uważać się, jak to czyniliśmy dotąd, za bezapelacyjnych sędziów i bezgrzeszny wzór dla dziecka, pełnego wad, rozważamy w pokorze ducha naszą sytuację — samych siebie.

Rozpocznijmy od zadośćuczynienia potrzebie dziecka posiadania otoczenia, odpowiedniego dla niego. Dziecko nie może żyć życiem prawdziwym w naszym skomplikowanym środowisku społecznym, ani też w przytułkach, jakimi są szkoły. Należy mu dać możliwość wyzwolenia się z pod zgubnego wpływu, jaki dorośli wciąż wywiera na jego duszę swym bezustannym nadzorem, ciągłymi napomnieniami i samowolnie wywieranym naciskiem.

Miast tego powinniśmy stworzyć dziecku otoczenie, w którym nadzór ze strony dorosłych i ich pouczenia zostałyby ograniczone do minimum. Im do-

skonalwsze będzie to otoczenie, tem bardziej osłabnie działanie dorosłych. Oto zasadnicze zagadnienie wychowania.

Dziecko wolne, to nie znaczy dziecko opuszczone. Należy starannie przygotować środowisko dla dziecka, co oznacza stworzyć nowy świat: świat dzieci.

W przyszłości ujrzymy w każdym mieście i wiosce domy nowego typu, piękne, małe domy, przeznaczone dla dzieci.

Zaledwie przygotowujemy dla dzieci przedmioty do praktycznego użytku, widzimy, że dzieci pograżają się w pracy systematycznej i cudownej. Ruchy ich są widocznie kierowane przez wolę, która nakazuje im spełniać czynności, mające wyraźne cele.

Dzieci umieją sobą kierować, wiedzą, czego chcą.

Potrzeba pracy jest u nich niemal większa od potrzeby odżywiania. Tak oto zniknął łakomec, miejsce jego zajął pracownik. Zamiast dziecka, poruszającego się hałaśliwie, mamy dziecko milczące i spokojne. Albowiem bez odpowiednich środków zewnętrznych dziecko nie może spożytkować olbrzymich sił, w które przyroda je wyposażyla w celu, aby je pobudzić do ciągłego, wytrwałego ćwiczenia, mającego udoskonalić wyższe jego funkcje.

Wiemy już dziś o domach dziecięcych, gdzie przygotowuje się przedmioty proste, praktyczne, ale mające służyć rozwojowi duszy dziecięcej. Mebelki, jasno polakierowane, tak lekkie, że potrącone przewracają się i z łatwością mogą być przez dziecko przenoszone z miejsca na miejsce. Jasny lakier lepiej uwydatnia plamę, która wykaże popelniony błąd i ułatwi także wywabienie jej zapomocą wody i mydła.

Meble dają się łatwo przenosić i są lekkie nie tylko dlatego, aby dziecko z łatwością mogło sobie wybrać miejsce, odpowiedniejsze jego potrzebom, ale także dlatego, że hałas, jaki spowoduje, zdradzi zaraz niedoskonałość ruchu i zachęci dziecko do ściślejszej kontroli nad ruchami ciała.

Tłukliwe i ładne przedmioty ze szkła i porcelany dają dziecku możliwość poznania cierpienia, kiedy przez nieuwagę upuści jeden z nich i utraci go na zawsze.

Ach! — ten ból, wywołany zmarnowaniem przedmiotu miłego sercu! Któżby nie zapragnął pocieszyć dziecka, upokorzonego i płaczącego nad stłuczonym przedmiotem. Tego dziecka, co odtąd, przenosząc przedmioty tłukliwe, wyteży wolę (i całe swe drobne ciałko), aby bacznie na swe ruchy? Oto otoczenie, które wciąż prostuje i uczy, nie przepuszczając najmniejszego uchybienia.

A wówczas interwencja wychowawczyni staje się zbyteczna. Może ona wiele nabrać doświadczenia, przyglądając się tylu interesującym scenom.

Stopniowo posłyszysz ona głosy tych rzeczy, które przemawiają do dzieci, wytykając im bez przerwy wszystkie ich uchybienia. Z drugiej zaś strony piękno całego otoczenia i wszystkich drobiazgów, które ono zawiera, zachęca dziecko do działania, do podwojenia wysiłków. Każda rzecz powinna być pociągająca: ściereczki do wycierania kurzu kolorowe, przybrane małymi wstążeczkami,miotelki ozdobione obrazkami; małe szczoteczki są powabne, małe mydełka są okrągłe i czworokątne, kolorowe. Zdają się wzywać dzieci: chodź, dotknij mnie, weź mnie i ściereczką odświętnie przybraną wytrzyj ten błyszczący stolik. Weź mnie, weź w rączki ten kijek,

tak ładnie przystrojony i zamieć podłogę. Chodźcie więc, małe rączka, i zanurzcie się w wodzie z mydłem. W ten sposób piękno pobudza dzieci, co dnia czyniąc zadość indywidualnym skłonnościom dzieci, ukrytym w ich duszy.

To już nie wychowawczyni woła dzieci po imieniu, nadanem im przez społeczeństwo (Ludwiku, zamieć podłogę, Jasiu, umyj sobie ręce).

Nauczycielka obserwuje działanie zadatków piękna na duszę dziecięcą, podziwia posłuszeństwo, nakazane przez naturę.

Radość dziecka ze spełniania tych prac pociąga za sobą pewien nadmiar ich wykonywania. Jest to popęd, czyniący bezwątpienia zadość potrzebie wewnętrznej. Dzieci czyszczą metalową klamkę, aż zetrą z niej metal. Wycierają kurz z tą samą energją, jakiej użyły do czyszczenia klamki. Widać, że podniecią dla nich nie jest osiągnięcie wytkniętego celu, ale wyczerpanie energii wewnętrznej, która zakreśla cykl ich czynności. One to kształtują człowieka wewnętrznego.

Tak jest, te dzieci spełniają swe czynności, aby jak najlepiej spożytkować wewnętrznego skarbu, który Bóg im powierzył, kiedy je powołał do życia.

Ten nadmiar powtarzania, czyniąc zadość życiowym potrzebom, wywołuje u dziecka wielką sprawność. Oto małe dzieci, które naprawdę potrafią się ubrać i rozebrać, umieją zapiąć sobie guziki, zawiązać tasiemki, umieją doskonale nakryć do stołu, zmyć talerze i szklanki. Kiedy czteroletnie dziecko potrafi samo sobie poradzić i naprawdę umie zdjąć i włożyć buciki, włożyć i zapiąć ubranko, wzniosła radość przejawia się w jego poczuciu ludzkiej godności,

osiągniętej dzięki tej niezależności nadmiar sił dziecięcych przejawia się rychło w spożytkowaniu na rzecz innych własnych zdobyczy. Dziecko spełnia te same czynności względem tych, co pracują jeszcze na niższym szczeblu: zapina fartuszek młodszemu dziecku, zawiązuje jego buciczki i skwapliwie myje i wyciera podłogę, na którą tamto wylało zupę. Kiedy myje talerze, zmywa to, co inne zabrudziły, kiedy nakrywa do stołu, usługuje tyłu osobom, które nie brały udziału w jego pracy. A przecież ta praca, doskonała je w służbie dla innych, jest wysiłkiem, który zasługuje na nagrodę, i wysiłek sam w sobie jest nagrodą, której pożąda dziecko. Te szlachetne czynności są dlań konieczne. Pewnego dnia ujrzałam dziecko, które smutnie zasiadło do talerza dobrej zupy, nie biorąc jej do ust, gdyż przyrzeczono mu, że ono będzie nakrywało do stołu i zapomniano o tem. Ono zaś bardziej pragnęło nakryć do stołu, niż jeść. Rozczarowanie jego duszy kazało zamilknąć potrzebom jego ciała, serduszek jego było wrażliwsze od pustego żołądka.

W taki sposób rozwija się wewnętrzna i społeczna działalność dziecka; ma przed sobą rozumny cel, do którego umysł jego dąży i który dzięki otoczeniu ma możliwość osiągnąć.

Aczkolwiek zainteresowanie dziecka ma głębsze znaczenie, i spełnia te czynności, aby uczynić zadość swej potrzebie ćwiczenia się. Dziecko będzie chciało myć sobie rączki jeszcze wiele razy, kiedy one już będą czyste, ale ma ono w tem cel, który nakazuje mu wykonywać cykl czynności koniecznych, a konieczne jest mycie rąk i nalewanie wody, branie ręcznika i mydła i posługiwanie się niemi, jak należy.

Dzieci są w ciągłym ruchu, zamiatają salę, wstawiają kwiaty do wazonów, biegnąc z jednego końca na drugi, przesuwiają meble, rozkładają dywany, nakrywają do stołu, ileż to czynności rozumnych, wymagających ruchu i gimnastyki fizycznej. Ile ruchów obejmuje ta praca domowa, wie każdy, kto sam ją spełniając, z konieczności doświadcza zmęczenia mięśni. Jest to więc istotnie gimnastyka, która (zamiast zapasów mięśniowych) ma swój punkt wyjścia w umyśle. Jednakże te ćwiczenia, tak miłe dla oka zwiedzających Domy Dziecięce, jako wykonywane przez dzieci z takim zapalem, są jedynie ćwiczeniem pomocniczem w działalności dziecięcej. Učení i ludzie nauki, demonstrowają nam fenomen wewnętrznego skupienia, które ich izoluje od reszty świata. Powszechnie znane anegdoty o uczonym, który zapomina o jedzeniu, lub o Archimedesie, który nie dosłyszał wrzawy zdobycia Syrakuz i pozwolił nieprzyjacielowi zaskoczyć go zatopionego w badaniu trójkątów, ilustrują te zjawiska skupienia duszy. A przecież temu skupieniu i uczoności ludzi nauki zawdzięczamy wiekopomne odkrycia, wiedzące ludzkości ku postępowi.

Istnieją potrzeby głębsze, domagające się, aby indywiduum pozostało samo z sobą, izolowane od innych, pogrążone w pracy tajemniczej, do której nikt nie powinien się wtrącać. Obca interwencja oznacza zahamowanie i zniszczenie. Żaden człowiek nie jest w stanie ułatwić drugiemu tej pozornej samotności, bogatej i pełnej życia niewidzialnego, wewnętrznego życia duszy. Tę samotność, t. j. oderwanie się od spraw zewnętrznych w celu skupienia się może przeżyć tylko sama dusza człowieka, otoczenie zaś może jej ułatwić jedynie

pośrednio przez spokój, milczenie i ład. Wzniosły ten stan, rzadko spotykany u dorosłych, znają przede wszystkim zakonnicy, którzy go cenią i uprawiają jako źródła siły moralnej, dającej im możliwość obcowania potem z całym mnóstwem ludzi w sposób spokojny i pełen życzliwości. Ludzie wierzący, obdarzeni szczególną łaską, pozostają przy tym w tym stanie wyższego skupienia wewnętrznego, które im pozwala niekiedy wyzwolić się z pod wpływów otoczenia, albo też schronić się przed wszelką żywą istotą; są to przeważnie ci sami ludzie, którzy potrafią dokonać najbardziej niezwykłych czynów społecznych i cierpliwie znoszą drobiazgi i niedoskonałości ludzkie, włącznie aż do prześladowania z ich strony. Istnieje przeto związek pomiędzy zewnętrzną pracą życia społecznego i wewnętrzną pracą skupienia duszy.

Aczkolwiek pozornie pozostające z sobą w sprzeczności, oba stany są głęboko związane, jeden jest źródłem drugiego. Życie wewnętrzne w samotności przygotowuje siły, konieczne dla życia zewnętrznego. Życie zewnętrzne z swej strony ułatwia skupienie w pracy systematycznej, a zużyte siły odnawiają się w wewnętrznym ćwiczeniu skupionej duszy. Człowiek moralnie zdrowy lub człowiek nawrócony nabywa tego zdrowia duszy, wypływającego z żywotnych sił duszy. Wówczas odczuwa potrzeby życia fizycznego: apetyt i senność. Ci zaś, którzy utracili świadomość potrzeb życia wewnętrznego, znajdują się na drodze, pełnej niebezpieczeństw, jak ciało, już niezdolne odczuć potrzebę odżywiania się i wypoczynku. U małych dzieci widzimy już zjawiska, każące nam myśleć o skupieniu, i które bezwątpienia są przejawem istotnie duchowym.

Przedmiot, nie nadający się do żadnej czynności użytecznej, nagle przyciąga uwagę dziecka, które zaczyna pracować i w tym celu spełnia ruchy, powtarzające się mechanicznie i jednostajnie w celu składania i rozkładania tej samej rzeczy. I to powtarza się kolejno tyle razy, że niepodobna już mówić o nadmiarze, jak w ćwiczeniach praktycznych, ale należy w tym rozpoznać zjawisko osobliwe. Gdy po raz pierwszy spostrzegłam istnienie takiej cechy, zdumiałam się i zapytywałam, czy to nie cud lub rzecz wyjątkowa, albowiem przed moimi oczami teoria psychologów uległa zburzeniu. W istocie oni sądzą i dotąd i ja tak sądziłam, że dziecko nie jest zdolne do skupienia swojej uwagi. A miałam przed sobą dziewczynkę czteroletnią, która z wyrazem skupionej uwagi wsadzała drewniane walce rozmaitej grubości do drewnianej podstawy z otworami odpowiedniej wielkości na ich przechowanie. Dziewczynka wkładała je z dokładnością, a dokonawszy tej pracy, znowu wyjmowała wszystkie walce, aby je wsadzić na miejsce. I tak bez końca.

Zaczęłam liczyć i doliczyłam się, że przeszło 40 razy czynność tę powtarzała. Kiedy zasiadłam do fortepianu i poleciłam wszystkim dzieciom śpiewać, malutka nie przerywała swej bezużytecznej pracy, nie podnosząc oczu, jak gdyby nieobecna. W pewnej chwili przestała pracować, z zadowoleniem podniosła pogodne oczy, jakby wyczęta i podniesiona na duchu i uśmiechała się, jak dziecko, co się budzi z miłego snu. Wiele razy byłam świadkiem podobnego zjawiska. Dzieci, które spełniły tę pracę skupienia, wydają się zawsze bardziej wyczęte i pełne sił moralnych. Jak gdyby w głębi ich duszy

otworzyła się droga, odnajdują w sobie lepsze uczucia, wydają się serdeczniejsze dla wszystkich, gotowe do posług i pełne najlepszych chęci. Często mówią też głosem przyciszonym, jakgdyby powierzały jakiś sekret: „Proszę pani, jestem grzeczna“.

Spostrzeżenie to zostało spożytkowane przez wielu i przeze mnie. Wykryłam prawo duszy, zdadne rozstrzygnąć zagadnienie wychowania.

Dotknęliśmy istoty życia, jasne było, że rozwój charakteru, uczuć, karności miał wytrysnąć z tego tajemniczego i ukrytego źródła. Wówczas praca moja polegała na doświadczalnym poszukiwaniu przedmiotów, które mogły pobudzić do skupienia i badałam także otoczenie, aby znaleźć warunki, któreby mu sprzyjały. W ten sposób zbudowałam swą metodę. Widocznie kluczem pedagogiki jest spożytkowanie tych stanów skupienia przez mechaniczne powtarzanie ćwiczenia, z niem połączzonego, ażeby nauczyć wszystkiego, czego wymaga wykształcenie i kultura. Zdaniem wszystkich psychologów jeden jest doskonały sposób nauczania: mieć głębokie zainteresowanie, uwagę żywą i natężoną. Znaczący to właśnie wyzyskać tę siłę wewnętrzną w celu wykształcenia dziecka. Czy to jest możliwe? Nietylko możliwe, ale konieczne. Aby się skupić, uwaga potrzebuje bodźca, którego natężenie powinno wzrastać.

Z początku zainteresowanie dziecka wzbudzają przedmioty, dające się rozpoznać zmysłami: walce rozmaitych rozmiarów, barwy do układania według skali, dźwięki muzyczne do rozpoznania, powierzchnie, bardziej lub mniej szorstkie, surowe do dotykania, przedmioty do liczenia, słowa do nauczania

się, gramatyka, rysunki, zadania arytmetyczne, zagadnienia historyczne, przyroda, reprezentują szczeble drabiny Jakóbowej, sięgającej aż do samego nieba. Można z koniecznością nauczania zjednoczyć tę niedającą się określić siłę wewnętrzną, o której mówi Dante w *Czyśćcu* — człowiek nie wie, skąd w nim się bierze zrozumienie pierwszych pojęć albo instynkt pierwszych popędów, które istnieją w nas jak w pszczołach istnieje instynkt robienia miodu.

Z niemiejszym nakładem pracy należało zbadać rolę wychowawczyni. Ona to może pomóc dziecku w jego doskonaleniu się i wykształceniu, albo też może wszystko unicestwić. Nielatwo jest uzyskać od niej zrzeczenie się dawnych jej praw, wpoić w nią przekonanie, że bezpośrednio nic nie zdoła zrobić ani w kształceniu, ani w karności dzieci, wzbudzić w niej ufność w wewnętrzną moc duszy dziecięcej. Ona wciąż będzie chciała doradzać, naprawiać, zachęcać dzieci, okazywać im wyższość swego doświadczenia i wykształcenia, a jednak, dopóki nie zabije w sobie dumy i nie nabierze przekonania o wartości dziecka, nie może osiągnąć powodzenia.

Jej praca pośrednia jest bardzo doniosła. Jej misją jest przygotowywać środowisko, dostarczać materiału dla koncentracji, ściśle wprowadzać dziecko w ćwiczenia życia praktycznego, odróżniać dziecko, które szuka, od dziecka, które wyrodnije. Wychowawczyni powinna być zawsze spokojna, zawsze gotowa przybiec z pomocą na wezwanie dziecka. Kierowniczką dusz powinna przedewszystkiem sama stać wysoko pod względem moralności. Poświęciwszy się kształtowaniu lepszej ludzkości,

powinna ona, jako chrześcijańska we-
stalka nauczyć się strzec czystości pło-
mienia życia wewnętrznego, albowiem

wygaśnięcie tego płomienia sprowadza
ciemności.

M. Montessori, przekład Elesty.

LUDZIE ZABAWY.

Przychodząc na świat, przynosimy ze sobą szereg wrodzonych właściwości fizycznych i duchowych: budowę ciała, temperament, instynkty i popędy oraz uzdolnienia wrodzone, jak np. przyrodzona pamięć, inteligencja, uwaga, zdolność rozumowania. Właściwości te są ściśle związane ze sobą i tworzą t. zw. konstytucję psychofizyczną, która u każdego człowieka jest różna; dlatego to wśród niemowląt spotykamy jednostki zdrowe lub słabe, impulsywne lub ospałe, żywo reagujące lub powolne i obojętne na wszystko. Konstytucja, czyli wrodzona natura człowieka, posiada dwie ważne cechy: dynamiczność i plastyczność. Przez dynamiczność należy rozumieć samorzutną tendencję rozwoju od wewnątrz, tendencję do rozrastania się; ona to pobudza dziecko do chodzenia, spostrzegania, mówienia; jej zawdzięcza ono rośnięcie i przyrost na wadze. Plastyczność natomiast jest to zdolność poddawania się wpływowi świata zewnętrznego, t. j. środowiska, jest to podatność do zmian, przekształceń pod działaniem otaczającej przyrody (klimat, położenie geograficzne, gleba, roślinność, zwierzęta i t. p.), ludzie (rodzice, krewni, otoczenie sąsiedzkie, kultura i cywilizacja). Środowisko wzmacnia lub hamuje wrodzone skłonności, przystosowuje osobnika do życia, wytwarza na podłożu wrodzonych właściwości przyzwyczajenia, umiejętności i sprawności, podsuwa wiedzę, dostarcza

podnieć uczuciowych i intelektualnych, wreszcie kształtuje w człowieku określony typ psychiczny. Na tę ostatnią sprawę pragniemy zwrócić baczniejszą uwagę.

Należy podkreślić fakt, że nasze zainteresowania, sposób patrzenia na świat, formy wyrażania się, ubiór, sposób chodzenia są prawie bez reszty wyznaczone przez środowisko, w którym przebywamy. Księdza i wojskowego poznaje się i w przebraniu, wieśniak odbija od tła wielkiego miasta. Znane jest roztargnienie uczonego, ruchliwość kupca, drobiazgowość kasjera czy buchaltera. Każdy zawód, miejscowość, epoka stwarzają właściwe sobie typy ludzkie. Ich poznawanie i opisywanie oddawna było udziałem plotki, satyry, karykatury oraz twórczym wysiłkiem literatów i malarzy. Ostatnio zajęła się tem zagadnieniem nauka: psychologia społeczna i socjologia.

Prof. Florjan Znaniński w jednej z ostatnich swych prac¹⁾ w nader interesujący sposób omawia sprawę wpływu zabawy na rozwój stosunków społecznych i na urabianie typu społecznego człowieka. Poznanie stanowiska prof. Znanińskiego jest z tego względu ciekawe, że dotychczasowe publikacje pra-

¹⁾ Florjan Znaniński. Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości. Książnica Atlas, 1936. Referujemy materiał, zawarty w rozdziale IV części drugiej.

wie wyłącznie analizowały psychologiczne i biologiczne skutki zabawy, pozostawiając na uboczu jej konsekwencje społeczne¹⁾.

Czem jest zabawa? Jest nią każda czynność, swobodnie i samorzutnie wykonywana tylko dla pozytywnego zadowolenia, jakie daje jej dokonanie. W zabawie więc nietylko chodzi o wytwór czynności, ile o samą przyjemność, wynikającą z procesu działania. Nikt, bawiąc się, nie zastanawia się, czy to, co w zabawie czyni, posiada jakiegokolwiek wartości, zwłaszcza ekonomiczne; nikt z bawiących się nie próbuje spieniężać rysunków, wycinanek i zbiorów powstałych w zabawie, niema też ludzi, którzy traktowałiby wyczyny zabawowe jako dzieła sztuki i obiektywnej nauki. W zabawie i grze cieszymy się z terażniejszości, przyszłość odsuwamy na chwile późniejsze. Pod tym względem zabawa przeciwstawia się pracy i wszelkiej t. zw. „poważnej czynności“.

Różnie można zapatrywać się na wartość zabawy z punktu widzenia ich przydatności dla kultury. I tak można twierdzić, iż nie wnoszą one nic wartościowego do ogólnego dorobku cywilizacyjnego; lub też, że spełniają rolę przygotowującą do późniejszych poważnych zadań; albo że są naśladownictwem poważnej działalności dorosłych, albo wreszcie, że są czynnościami właściwymi wiekowi dziecięcemu, które przestaną być wykonywane po doroinięciu. Kto ciekawy jest istniejących teoryj zabaw powinien zajrzeć do cy-

townej wyżej publikacji E. Claparède'a, zdaniem jednak Znanieckiego są one niewyczerpujące. Brak ich przede wszystkim tkwi w niedocenianiu wpływu zabawy na urabianie życia społecznego. Jak bowiem dzieci i młodzież wzorują się na dorosłych, tak z drugiej strony dorośli stosują, najczęściej w sposób bezwiedny, w swem życiu te zasady i formy współżycia, których się nauczyli wśród rówieśników w dzieciństwie, a które to są oryginalnym wytworem zespołów zabawowych i tam tylko mają właściwe zastosowanie. To, co nazywamy życiem towarzyskim, polityką i walką, zdaniem prof. Znanieckiego, jest w swej istocie zabawą dziecięcą. Dorośli organizatorzy i uczestnicy zabaw i życia towarzyskiego, gry i pracy politycznej, rewolucjoniści i przywódcy w olbrzymiej ilości wypadków zaprawiali się, bawiąc się w odpowiednich zespołach młodocianych rówieśników. I w tem właśnie z punktu widzenia kulturalnego tkwi twórcza rola zabawy.

W społeczeństwach prymitywnych, gdzie potrzeby ekonomiczne nie są zbyt wysokie, a bogactwo przyrody ułatwia bytowanie, młodzież, zwłaszcza męska, zażywa dużej swobody, bawiąc się bez specjalnego krępowania w kręgach rówieśników; co więcej: kręgi te wywierają znaczny wpływ na kształtowanie się typów osobników dojrzałych. Tem to możnaby tłumaczyć beztrioskie lenistwo ludów murzyńskich, ich łatwość cieszenia się z rzeczy małych, chęć strojenia się, dzieciinną chełpliwość i t. d. W dzisiejszych społeczeństwach cywilizowanych przeważna część młodzieży bawi się jedynie w czasie wolnym od pracy lub wychowania pod okiem dorosłych. Jeszcze stosunkowo najczęściej

¹⁾ Porównaj: Edward Claparède. Psychologia dziecka i pedagogika eksperymentalna, wyd. III, Nasza Księgarnia, 1936, rozdział V.

pod tym względem swoboda pozostawiona jest rozpieszczonym jednostkom klasy bardzo zamożnej, lub też tym jednostkom proletariatu, które wyłamały się z pod opieki starszych, zdobywając środki utrzymania z kradzieży, oszustwa, sportu i t. p. Tylko przedszkole i młodsze klasy szkoły powszechnej oraz niektóre organizacje młodzieży łączą elementy zabawy i pracy, traktując je jako czynniki wychowawcze.

Mimo wszystko w społeczeństwach dzisiejszych zabawa wywiera znaczny wpływ przy kształtowaniu typu człowieka. Zdaniem Znanieckiego, możemy stwierdzić istnienie wśród ludzi typu, który powinien nosić nazwę „człowieka zabawy“. *Człowiekiem zabawy* jest każdy, u którego w życiu dojrzałym (a więc kiedy jest już dorosłym) dominują tendencje, rozwinięte pod wpływem kręgów rówieśników, w których się bawił w ciągu dzieciństwa i młodości. Każdy bowiem krąg młodocianych rówieśników, o ile nie jest krępowany przez dorosłych, jest zespołem zabawowym.

„Ludzi zabawy“ jest więcej, niż wydawałoby się na pierwsze wejrzenie. Wynika to zapewne z dwóch powodów. Po pierwsze zabawa przyciąga o wiele silniej młodocianego osobnika, aniżeli praca lub całkowite poddawanie się dorosłym i przebywanie z nimi. Po drugie, rozwinięte w kręgu zabawowym tendencje do czynnego i ekspansywnego ustosunkowywania się do ludzi i rzeczy, wyraźniej występują w późniejszym życiu, aniżeli dążności, skrepowane za młodych lat przez przewagę dorosłych. Przebywanie wśród rówieśników uodpornia osobnika na wpływy dorosłych. Ciekawie byłoby stwierdzić, jaką rolę odegrała zabawa w życiu zna-

nych rewolucjonistów i bojowców; że tak jest, to w tej chwili nie ulega żadnej wątpliwości.

Jakież właściwości psychiczne cechują „ludzi zabawy“? Przedewszystkiem są oni uspołecznieni. Chętnie podejmują zadania, które są uznane za ważne przez środowisko, czynią to, co społeczeństwo uważa za stosowne. Nawet wtedy, gdy człowiek zabawy staje się dyktatorem lub wodzem, ma silne poczucie sprawiedliwości społecznej. Źródeł moralności doszukują się nie w jakichś doktrynach czy wychowaniu, które odebrali, lecz we własnym przeświadczeniu, że tak a nie inaczej trzeba postąpić; z reguły przeświadczenie to nie kłóci się z obowiązującą moralnością społeczną. Człowiek zabawy wierzy we własne siły i możliwości, jest optymistą i ryzykantem, lecz nie egoistą, rozpychającym się łokciami. Ma przyjemność nie w braniu, lecz dawaniu innym, ma fantazję w obdarowywaniu i chętnie to czyni. Jest w nim coś z rozrzutności dawnych magnatów polskich, choćby jego zasoby materialne były szczupłe. Jeżeli bierze od innych, to z reguły dla rozdania przyjaciółom; aby zaś owo prawo dawania móc wykonać, jest przekonany, że od szerszego środowiska ma prawo żądać, aby jemu dawano; dlatego wśród wielkich jałmużników i filantropów z pewnością odnajdzie się wielu „ludzi zabawy“. Mają przyjemność w działaniu, lubią widzieć, że są pożyteczni.

Rozróżniamy trzy typy „ludzi zabawy“, zależnie od rodzaju zabaw, w których zamłodu częściej lub z większym zainteresowaniem brali udział. Są to *ludzie zabawy towarzyskiej*, *ludzie gry politycznej i bojowcy*. *Człowiek zabawy towarzyskiej* traktuje wszystko

lekko, rzeczy obiektywnie ważnych nie uznaje, ceni tylko to, co wiąże się z jego najbliższym środowiskiem i dzieje się w teraźniejszości, a co do przyszłości — „to jakoś tam będzie“. Typ ten wyrósł w tych kręgach społecznych, które mało lub wcale nie zajmują się tworzeniem i utrzymywaniem porządku społecznego, gdzie w sposób teatralny przygląda się tylko rzeczom poważniejszym. Natomiast politycy i bojowcy nadają swym rolom społecznym wielkie znaczenie, mają siebie za organizatorów społecznych, grę polityczną i dyscyplinę wojskową uważają za najlepszy środek rozwiązywania wszelkich trudności. *Ludzie gry politycznej* — to ci, którzy jako dzieci bawili się w zorganizowane życie społeczne o charakterze pokojowym (np. w rodzinę, w sklep, szpital i chorych, gry ruchowe), dzięki czemu mieli oni możliwość i sposobność poznać funkcjonowanie i budowę organizmów społecznych oraz rozbudzić w sobie chęć stałego organizowania życia społecznego. Wreszcie *bojowcy*, to ci, którzy brali częsty udział w grach i zabawach, przenikniętych współzawodnictwem i walką.

Dla ludzi zabawy towarzyskiej wszystko, począwszy od sportu aż do dzieł sztuki, praktyk religijnych i zajęć intelektualnych jest igraszką; życie swoje i otoczenia upraszczają, traktując je „na niby“. Politycy i bojowcy, jak wydaje się, reprezentują głębsze wartości w porównaniu z pierwszymi: budują lub burzą, tem samem przyspieszając postęp cywilizacyjny. Natomiast poczucie wolności własnej, tolerancja, poczucie równości cechują wszystkie typy ludzi zabawy, choć najsłabiej bojowców.

Ogólnie biorąc, ludzi zabawy możemy uważać za jednostki wartościowe społecznie. Dlatego też jesteśmy w prawie twierdzić, że:

Jeżeli chcemy wychować ludzi czynu, zdolnych podążać wślad za szybkimi zmianami, jakie przeżywa świat, musimy: podniecać samorzutną tendencję dzieci i młodzieży do zabawy i tworzenia grup rówieśniczych dla celów zabawowych oraz podsuwać zabawy, rozwijające dyspozycje twórcze i chęć do działania.

Włodzimierz Skłodowski.

CHÓD I BIEG.

Chód w ćwiczeniach gimnastycznych stosujemy celem nauczania naturalnego i swobodnego chodu oraz celem nauczania chodu rytmicznego.

Z obserwacji codziennej wiemy, jak liczne są wady chodu: złe trzymanie się, unieruchomienie rąk, przesadne ruchy rąk, usztywnienie tułowia, przesadne ruchy tułowia, skręt stóp do wewnątrz lub przesadny skręt nazwewnątrz i t. d.

Słusznie radzi Thulin unikania takich zwrotów, jak: „wyprostujcie się“, „ruszajcie ramionami“, gdyż następstwem tego byłoby skrępowanie dzieci i wynikające z tego usztywnienie. Swobodę ruchów uzyskamy, odwracając uwagę dzieci od ich „ja“ i stwarzając odpowiedni nastrój psychiczny obrazem fantazyjnym, np. księżniczką, rusalką, wiatrem i t. d. Z pojęciem księżniczki łączą dzieci

chód opanowany, z poprawnym trzymaniem się, rusalki naśladują ruchami lekkimi i t. d. Spotęgujemy nastrój i ułatwimy zrozumienie istoty ćwiczenia, posiłkując się kontrastami: „idziemy pod wiatr z wysiłkiem pokonywując opór, to znów idziemy z wiatrem, więc prędko i lekko“, „mozolimy się, jak koń roboczy lub stąpamy swobodnie, jak koń wyścigowy“ i t. p.

Jednym z warunków pięknego chodu jest rytmiczność — omówienie tego zagadnienia pozostawiam specjalistkom-rytmiczkom (ciekawie rzecz ujmuje Björkstén w „Gimnastyce kobiet“). Wymaganie marszu w nogę z kryciem i równaniem w przedszkolu byłoby przedwczesne — stosujemy to dopiero w III powszechnej, po opanowaniu kroku polkowego.

Chód (i bieg) stosujemy też w przedszkolu w formie ćwiczeń porządkowych, np. 1) chód w rozsypce w różnych kierunkach, tak, by dzieci chodziły swobodnie, zręcznie unikając zderzenia, 2) chód rzędem jak gąski i chód w gromadce jak stado owiec, 3) chód po obwodzie koła dużego — na dany znak zmniejszenie koła przez zbliżenie się dzieci do środka.

Chód jest najlepszym ćwiczeniem uspokajającym, ale pod warunkiem, że nie zawiera nowego (nieopanowanego) elementu rytmicznego lub porządkowego, wymagającego skupienia uwagi, a tem samym hamującego oddech. Oczywiście różne odmiany chodu, jak chód na palcach, ze wznosem kolan (kogut) i t. d., wyrabiając giętkość stawów i wzmacniając mięśnie, przyczyniają się do wyćwiczenia pięknego naturalnego chodu.

Chód na palcach jest specjalnie ważny, bo przeciwdziała płaskiej stopie.

Jako przeciwdziałanie płaskiej stopie bardzo jest wskazane chodzenie bosą po miękkim podłożu, np. po piasku.

Chód (i bieg) na czworakach nie-słusznie, mojem zdaniem, umieszcza Thulin w ćwiczeniach chodu — jest to ćwiczenie tułowia.

Bieg pod względem fizjologicznym zasadniczo różni się od chodu. Chód, jako ruch spokojny, miarowy i mało męczący, jest ćwiczeniem uspokajającym, bieg zaś jest ćwiczeniem bardzo intensywnym, męczącym.

Najbardziej męczącym ćwiczeniem, jak wiemy, jest skok. Jeżeli jednak między poszczególnymi skokami są dłuższe przerwy (np. dzieci skaczą kolejno przez ławeczkę), wtedy kulminacyjny punkt napięcia ćwiczeń w osnowie gimnastycznej mamy nie w skokach, ale w biegu.

Bieg jest wspaniałym ćwiczeniem serca i płuc; koordynacja ruchów w biegu jest znaczna, a że i wpływ na giętkość stawów i siłę mięśni jest duży — więc należy uważać bieg, podobnie jak skok, za ćwiczenie wszechstronne.

Co do metody nauczania biegu, należy, podobnie jak w chodzie, posiłkować się obrazami fantazyjnymi, jak: „bieg z wiatrem w zawody“, „wiatr robi nas lżejszymi“, „bieg strumyka“ i t. p. Po biegu stosujemy, jako ćwiczenie uspokajające, chód, którym też, do brze jest, dla uniknięcia przemęczenia, przeplatać bieg, np. „koniki biegają po łące, chodzą, znów biegają“ albo „idziemy samochodem, samochód się zepsuł, więc idziemy pieszo, siadamy do drugiego“.

Bieg, nawet przeplatany chodem, nie powinien w przedszkolu trwać długo (serce dzieci prędko się męczy), natomiast należy go zastosować w osnowie

przynajmniej dwa razy, np. w części wstępnej i w głównej.

Należy również unikać sąsiedztwa biegu ze skokami (zbyt męczące), z podporami i zwisami (utrudniony oddech) oraz z ćwiczeniami wymagającymi skupienia uwagi (trudniejsza równowaga, nowe ćwiczenie porządkowe i t. p.).

Wielkie zastrzeżenie mam co do po-

danej przez Thulina „wężownicy“. Cenne w tem ćwiczeniu współdziałanie postaramy się podać dzieciom w innej, łatwiejszej formie, a niebezpieczeństwo uderzenia się dziecka przy zerwaniu się łańcucha wydaje mi się zbyt dużym.

E. Podgórska.

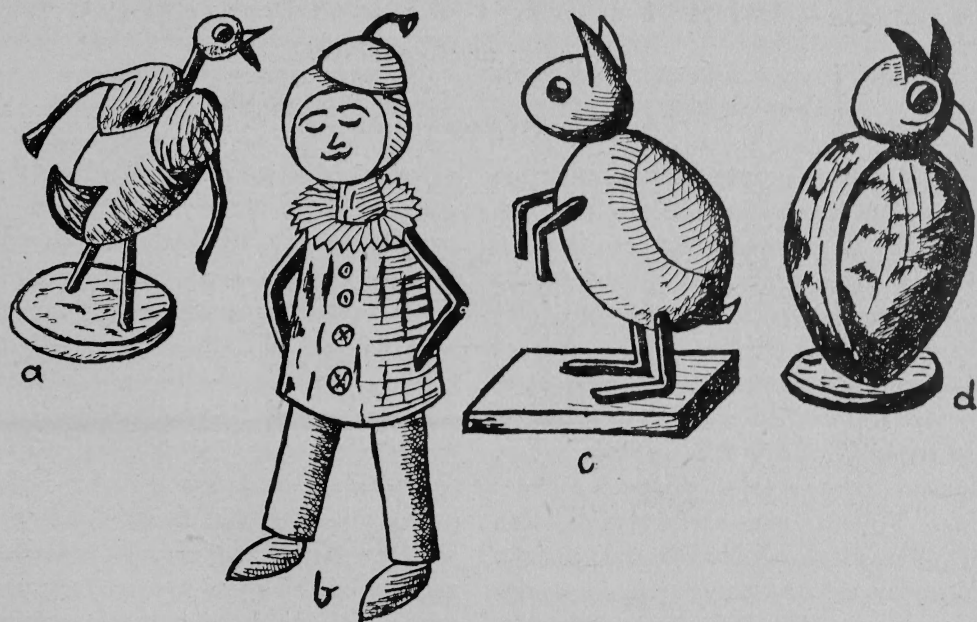
ROBOTY Z NIEUŻYTKÓW I MATERJAŁÓW ROŚLINNYCH.

Przez długi okres czasu wyłącznym materiałem, używanym do prac dzieci w przedszkolach, jak i w szkołach powszechnych na pierwszym stopniu, były: bibułka, papier, karton, plastelina, glina i rafja. Wykonywało wówczas dziecko rozmaite torebki, koperty, koszyczki, przeplatanki, wycinanki i t. p. rzeczy. Przedmioty te jednak nie przekonywały dzieci, nie zaspokajały należycie ich upodobań, jak również nie sprawiały im wielkiej radości w pracy — w zabawie. Zaczęto więc podpatrywać dziecko przy zabawie w domu, w ogrodzie. Zauważono, że małeństwa te, w celu wykonania pewnej zabawki, wykorzystują chętnie różne owoce suche, pudełka i t. p. rzeczy. Zupełnie słusznie! Są to bowiem gotowe bryły, które umiejętnie połączone ze sobą, dają coraz to nowe i ciekawe formy. Posiadają one specyficzny wygląd i swoje cechy, które trzeba tylko umieć dostrzec, aby potem wykorzystać je do właściwych celów.

Mając na uwadze powyższe względy, jak również i dzisiejsze trudne warunki materialne, owe nieużytki w po-

staci różnych pudełek od gilz, cukierków, czekoladek, zapalek, skrawków tkanin, szpułek od nici, wydmuszek z jajek, drucików, korków, patyczków oraz owoców trwałych i nietrwałych, jak: kasztanów, żołądzi, jarzębiny, jałowca, dzikiej róży, kaliny, owoców klonu, leszczyny jesionu i t. p., skorupki z orzechów łaskowych, włoskich, japońskich, drobnych ziemniaków, tykwy, nadto galasówki, trzciny i palki wodnej, tataraku, sitowia, liści, lodyg i t. d. i t. d.—wszystko to znalazło się w przedszkolu i w klasach niższych szkoły powszechnej na pierwszym miejscu, wypierając papier, karton i tekturę na miejsce drugie w charakterze materiału dodatkowego.

Głównem zadaniem wychowawcy będzie gromadzenie wyżej wymienionych materiałów, zbieranych w odpowiedniej porze roku przez dzieci, a każdy nowy materiał dany dziecku do rąk ma je zaciekawiać i zachęcać do pracy. W takich warunkach dziecko szybko i bez żadnych trudności stworzy jakąś ładną zabawkę, a widoczny rezultat wskutek jego wysiłku, stanie



się nadal podniętą do wyszukiwania coraz to nowych form.

Na załączonej tablicy widzimy kilka typowych prac, powstałych przez połączenie ze sobą różnych materiałów i tak: rys. a) przedstawia nam pisklę, którego główka zrobiona jest z jarzębiny, głogu lub groszku, szyja z patyczka, tułów z żołądzi, skrzydełka z miseczek, ogonek z kartoniku, a nogi z patyczków wetkniętych w plasterek korka.

Rys. b) to pajacyk, którego głowa powstała z kasztana, nakryta czapczką z miseczki żołądzi, szyja i tułów z korków, ręce z patyczków, załamanych w łokciach, a nogi z gilz, zakończone stopami z połówek fasoli. Oczy, nos, usta uzupełnia dziecko rysunkiem.

Zajączek (rys. c) powstał z kasztana, na którym osadziliśmy główkę z pustego orzecha laskowego (puste orzechy bywają przeważnie z otworkami

w skorupce) uszy i ogon z papieru, nogi z patyczków.

Rys. d) to sowa z dwóch orzechów. Główna trzyma się zapomocą patyczka wklejonego w obie skorupki.

Wiele można przytoczyć jeszcze różnych przykładów, a przedewszystkiem rozpatrzyć sprawę środków lokomocji, najbardziej interesującą dzieci, lecz nie da się to wyczerpać w krótkim artykule. Także szersze i dokładne omówienie wielu rozwiązań nie da się zamknąć w kilku stronach czasopisma.

Powstały książki, które szeroko i dokładnie ilustrują dział zajęć dzieci.

Jan Mazurek.

OD REDAKCJI.

St. Gabryel i J. Mazurek. Zajęcia praktyczne dziecka w szkole i domu. Cz. I. „Nasza Księgarnia“. Cena 2 zł. 50 gr. i cz. II cena 3 zł. 50 gr.

ZAJĘCIA PRAKTYCZNE DZIECI.

(Z dziennika wychowawczyni).

Dzieci inteligencji pracującej. Śródmieście. Wiek 6—7 lat.
³/₄ gromadki stanowią chłopcy.

Odrązu na początku roku szkolnego zetknęłam się z faktem niechętnego zabierania się chłopców do prac z rafji. Oplatani raz przy razie koszyczki, bo otrzymali polecenie zabrania się do tej czynności, ale trudno byłoby dojrzeć jakiegokolwiek zadowolenie, radość z tej pracy. Pozwoliłam więc odłożyć zaczęte ramki i koszyczki, a zabrać się do innego rodzaju zajęć, do prac z pudełek. Tematu nie narzucałam, każde dziecko mogło robić to, co chciało. Wszyscy chłopcy przystąpili do sklejanego samochodu. Dziewczęta były długo niezdecydowane, wreszcie pociągnięte przykładem Ali i Basi, poczęły robić lózczyka, wózki, stoliki. O zainteresowaniu i przejęciu się własną twórczą pracą mówiły wyraźnie roziskrzona oczęta i wielkie wypieki na buziach każdego z nich.

Myśli wielu streściły się jasno, dobitnie w jednym z pierwszych zdań, wypowiedzianych nazajutrz do kolegi: — „Widzisz, Jasiu, szkoda, że nie byłś wczoraj, to ci, bracie, robota była!“ Pierwsze wyczyny z pudeł, pudełek i pudełeczek, aczkolwiek nie były efektowne, przedstawiały wielką wartość — były wyrazem głębokiej, wytężonej myśli i pomysłowości dziecka, jego radości i dumy!

Zabierając się do pracy zbiorowej „Ulica miasta“, miały już dzieci za sobą wiele zdobytego doświadczenia i zręczności. Dało mi to możność dorzucenia im jeszcze jednej, największej trudności — oklejania prac glansowanym barwnym papierem. Obserwując

dzieci przy zajęciach praktycznych jeszcze w latach ubiegłych, myślałam, że ten różnorodny materiał, jaki przygotowuje do zajęć sama wychowawczyni, materiał, który ma za zadanie nasunąć sobie dziecku ten lub inny pomysł, takie lub inne zastosowanie w całokształcie pracy, nie jest wystarczający z tego względu, że niemożliwością jest dla nas przewidzieć, co które z dzieci będzie miało ochotę zrobić i jakie szczegóły w pracy swojej zamieści. Jedyne rozwiązanie tej sprawy byłoby zgrupowanie najróżnorodniejszego materiału i pozostawienie doń stałego dostępu dzieciom.

Projekt powyższy, wprowadzony w życie w roku bieżącym, przyczynił się niezawodnie w dużej mierze do uzyskania takich dobrych wyników pracy, jakich od dzieci otrzymałam. Została sprowadzona do przedszkola szafka, która składa się z kilkudziesięciu małych szufladek i z 2 dużych szuflad. Każda z nich mieści w sobie jeden rodzaj materiału. Czego tu niema? — istna skarbnica. Są kasztany, żółędzie, szyszki, szpulki różnej wielkości, wata, siano, patyczki, drut, guziki różnorodne, korale, koraliki, wydmuszki, łupinki od orzechów, gwoździe, kamienie, muszleki, nici, kolorowe gałganki, mech, zatraski, groch, sznurki, fasola, makówki, pudełka od zapalek i t. p. „Skarbczyk“ nasz stoi w miejscu najbardziej dostępnym dla wszystkich dzieci. Wolno z niego brać do pracy wszystko, co się tylko małym przydać może.

Jak się okazało, niema tam dla nich

rzeczy niepotrzebnych, przydaje się im każda, najbardziej przez nas zlekceważona, zepsuta szpilka, spinka czy guzik. Wspólna praca „Ulica“! Szybko decydują się dzieci na wybór rodzaju pracy. Następuje ciekawy podział. Wszystkie bez wyjątku dziewczęta chcą robić domy, a nawet je umeblować. Chłopców interesuje bardziej ruch i życie zewnętrzne. Ci planują sobie zmontowanie samochodów ciężarowych, autobusów, taksówek, tramwajów, straży ogniowej, dorożek i t. p. Zabierając się do pracy, mają pod ręką wszystko, co może im być w tej pracy pomocnym: „Skarbczyk“, stos przeróżnych pudełek, glansowany papier we wszystkich kolorach, klej zwykły, stolarski, nożyce wielkie i małe.

Zapał niesłychany! nie mogłam ich prosto oderwać od warsztatików pracy. Zaczęty dzisiaj modelik pragnęły przed wyjściem do swych domów zobaczyć w gotowej szacie.

Niezmiernie wiele trudności sprawiło dzieciom oklejanie swych prac glansowanym papierem, tem bardziej, że wymagałam od nich kategorycznie wykończeń dokładnych, starannych i nie pozwalałam na niszczenie materiałów. Trudności te zmusiły gromadkę do współpracy, do wzajemnej pomocy. Od tej pory datuje się ich samorzutna chęć pracy wspólnej mietylko podczas zabaw i zajęć praktycznych, ale w dużej mierze podczas zajęć artystyczno-technicznych.

Kiedy się patrzy obecnie na miniaturowy odcinek wielkiego miasta z pudełek papierowych, rzuca się jedno w oczy — bogactwo pomysłów.

W pewnej odległości od barwnych, o nowoczesnych płaskich dachach kamienic, stoi przystanek tramwajowy.

Niewielkie pudełko od papierosów, oklejone czerwonym papierem, na szczycie wielka metalowa, lśniąca kula. „Taka ładna, jak prawdziwa na ulicy, spojrzysz i widzisz w niej siebie, tylko że taką buzię tyciuchną“. Tę kulę prawdziwą — szpilkę od dawnego, z przed laty 15 kapelusza damskiego — znalazła w skarbczyku Ala. Szukała w tak wielu szufladkach kół do samochodu! Otwierając jedną po drugiej, zauważyła ową szpilkę, zabrała ją pośpiesznie i zapominając o poszukiwanych kołach, pędem wróciła do klasy—„Jurek, masz, masz do swego przystanku kulę, doskonałą, prawda?“...

Na jezdni ruch! Suną pojazdy jeden za drugim. Samochód pocztowy! — tyle było zmartwień. Poczta zrobiona, ślicznie oklejona ciemnozielonym papierem, brak tylko godła państwa. Proszą mnie o narysowanie orła. Sami już próbowali i „nic nie wyszło“.—„Niech nam pani narysuje“.—„Ej, wstyd byłoby doprawdy“ gdybyście sami poradzić sobie nie mogli. Pomyślcie dobrze, a dacie biedzie radę“. I rada się znalazła. Nie dzisiaj, a za dni kilka. Oblepiając motor — pudełko od zapalek — Jurek wykrzyknął: „jest“. Kilka szybkich manipulacji nożycami i już wycięty orzeł z etykiety... „Teraz, to każdy pozna, że to poczta“. Dalej wielki autobus ciężarowy. Już nie można w nim zastosować pinasek mosiężnych, jako światełka, bo za małe dawałyby światło. Twórca tej lokomocji poradził sobie doskonale: Żarówki — białe mleczne korale, podstawki — dwie miseczki od żółędzi. Wszystko razem, połączone z motorem zapomocą patyczków, doskonale imituje latarnie.

Z bocznej ulicy mknie z impetem auto strażackie. Z autem była niełatwa

sprawa... (16.I 36 r.). „Chcemy zrobić auto strażackie, ale jak? Pani, jak z kamienia, nic pokazać nie chce“.—„Bo pani pewnie sama nie wie jak“, szepce Jędrrek do kolegów. „Coś ty myślał—strażackie zrobić, to jak z dubeltówki wystrzelić, nie tak łatwo to, bracie, nie“.— „Proszę pani“, zawyrokował wreszcie jeden z nich: „jak pójdę dzisiaj z tatusiem na spacer, będę przystawał przy każdej wystawie z zabawkami, to zobaczę, jak jest zbudowany i jutro je zrobimy z Jędrkiem“. Zobaczyli i nazajutrz zbudowali. „Śliczne!“ zachwycali się dzieci. Trzeba tylko wykończyć, dodać najpotrzebniejsze szczegóły. O baj malcy pilnie przeszukują „skarbczyk“. Na walce doskonale nadają się

szpulki. Wysoki, czarny guzik z masy perłowej jakby stworzony na siedzenie dla szofera, jest dzwonek, za chwilę osadzą go na drucie od rączki, jaką dla wygody dodał kiedyś do paczki w sklepie spożywczym subjekt — i dzwonek alarmowy gotów. Auto, puszczone w ruch, zdaleka już daje o sobie znak dźwięcznym deń, deń, deń!

I odtąd wykonane samodzielnie ciężarowe samochody, autobusy, poczta, tramwaj, auto strażackie, kolej — stają się najulubieńszymi zabawkami dzieci. Poszły w zapomnienie wszystkie inne z szafki jesionowej, za które kiedyś tyle groszy zapłacić musiano!...

Irena Chróścicka.

W R Z E S I E Ń.

Po poprzednim porozumieniu się z ogrodnikiem urządziliśmy z dziećmi wycieczkę do sadu na przedmieściu.

Ślicznie wyglądały w słońcu drzewa rumiane od owocu, zwróciłam na to uwagę dzieci.

Przypuszczam, że po raz pierwszy widziały owoce w takiej ilości. Obeśzliśmy cały ogród, zatrzymując się przy ładniejszych drzewach.

Z początku dzieci były nieco onieśmielone w cudzym ogrodzie, dopiero później się rozruszały.

— Zabawmy się w jabłuszka — zawołała któraś dziewczynka — tu zrobimy „prawdziwą“ zabawę.

I natychmiast zainscenizowały znany im wierszyk „Jesienią“. Otoczyły jabłoni i trzymając się za ręce, śpiewały:

„Pójdę ja się, pójdę
Pokłonić jabłoni,

Może mi jabłuszko
W czapczkę uromi“.

Przy słowach:

„Jesienią, jesienią sady się rumienia,
Czerwone jabłuszka pomiędzy zielenią“
łączyły się w pary i prędko obracały się wokół siebie.

Tymczasem nadszedł sadownik i długo przyglądał się zabawom dzieci, a wkońcu powiada: — No, skoroście tak ładnie śpiewały jabłonce, musi was wynagrodzić.

Podstawił drabinę, wszedł na drzewo i zaczął trząść jabłka, proponując dzieciom, by sobie wybierały najładniejsze.

— A uważajcie, żeby się wam robaczywki nie dostały.

Dużo było uciechy i zabawy przy tem: czasem jabłko spadając uderzyło kogo, czasem potoczyło się za daleko, trzeba było je gonić.

A gdy wszystkie dzieci już miały po jabłku — zaproponowały, że pozbierają resztę do kosza, który stał tuż przy drzewie.

Wreszcie podziękowaliśmy sadownikowi za gościnność i ruszyliśmy zpowrotem.

— Wesoło było w ogrodzie! — mówiły dzieci. — Przyjdziemy tu jeszcze?

— A co ogrodnik zrobi z tamtymi jabłkami? A co z robaczywkami? i t. p. pytaniami zarzucały mnie w powrotnej drodze.

Jabłek jednak odrazu nie zjadły — widocznie chciały się nimi poprzednio nacieszyć: długo obracały je w ręku, pieściły, głaskały, chowały do kieszeni i znów wyjmowały, porównywały je między sobą, a które jeść zaczęły, to gryzły małymi kawałkami, wolno, chciały, by to jedzenie trwało jak najdłużej.

Dwie dziewczynki wcale nie jadły, chciały wpięrk pokazać mamusi.

Jabłka były dojrzałe i czyste, więc mogły je dzieci natychmiast jeść. Porozmawiałyśmy przytem o smaku tych jabłek: dla jednych były słodkie, dla drugich kwaskowate.

Dzień drugi.

Poleciałam dzieciom dnia poprzedniego, by każde, które tylko będzie mogło, przyniosło jabłko. Propozycja była bardzo pożądana, dzieci nie zapomniały, tylko troje nie miało. O przyczynę nie pytałam i dałam im od siebie.

Rozmawiałyśmy na temat jabłek. Czy były z ich ogrodu, czy matka kupiła, gdzie? na targu, w owocarni?

Usiadły wkółko na krzeselkach, a ja wśródku pomiędzy nimi. Dzieci skupiły uwagę na barwie i kształcie jabłek. Pokazywały całe czerwone, potem te, które były tylko żółte, lub do

połowy żółte; następnie kuliste podłużne — najmniejsze — największe.

Przypomniały sobie naszą wycieczkę do sadu, opowiadały, co tam było przyjemnego — i śpiewały znów piosenkę „Jesienią“.

Następnie umyły dzieci jabłka — porozdziałały na 4 części, obraną skórkę kładły na talerz, a cząsteczki jabłek do salaterki z wodą.

Salaterkę z jabłkami i talerz ze skórkami zaniósły do kuchni, gdzie przy pomocy gosposi miały ugotować kompot, a ze skórek przyjemny napój.

Pozostałe dzieci (z powodu ciasnoty kuchni nie wszystkie dzieci brały udział w tej pracy), wybrały ziarenka (nasiona jabłek), aby je wysuszyć dla ptaszek na pokarm na zimę — troje dzieci z tej grupy miało wybrać z kosza i ułożyć na brytfankach do upieczenia tytuł jabłek, ile jest dzieci.

Byłam bardzo ciekawa, jak sobie poradzą. — Próbowaly różnych sposobów. Rachowały dzieci i jabłka — ustawiały dzieci i odpowiednio układały jabłka, ale dzieci nie chciały stać długo i rozchodziły się. Wkońcu uciekły się do takiego sposobu: rozdały wszystkim po jabłku i każdy musiał swoje jabłko położyć na brytfance do upieczenia.

— A to mieliśmy dziś używanie, na obiad kompot z chlebem, na podwieczorek jabłka pieczone z cukrem, a podczas zabawy w ogródku „jabłecznik“ — rozmawiały dzieci.

Dzień trzeci. Postawiłam w przedszkolu kosz pełen jabłek, gruszek i śliwek — i spytałam co to jest? Dzieci wymieniały poszczególne owoce, — a wtedy użyłam wyrazu *owoce*. Wyraz ten powtórzyłam w rozmowie z dziećmi kilkakrotnie w różnych zdaniach dla u-

trwałenia. Zwróciłam uwagę na piękno owoców (kształt i barwę). Omówiłam kilka wskazówek higienicznych, jak jeść owoce (umyc — *sprawdzić, czy nie robaczywe i t. p.*).

Dzień czwarty. Dzieci zaprojektowały wspólną pracę dla urzędnika owocarni. W tym celu modelowały z zapalem owoce (praca ta bardzo przydała im się dla utrwalenia pojęcia kształtu owoców). Na stole w kąciaku przedszkola

ustawiły koszyki pełne owoców swojej roboty — ścianę ozdobiły obrazkami owoców (pocztówki, wycinki z pism, cenników, które częściowo im dostarczyłam, częściowo przyniosły z domu). Zabawa trwała szereg dni — i sprawiała dzieciom wiele uciechy, — a co najważniejsze stale dzieci uzupełniały sklep pracami przez siebie zaprojektowanymi.

M. Sidorówna.

W I E W I Ó R K I.

Nie wszyscy może wiedzą, że w Łazienkach i w ogrodzie Botanicznym w Warszawie mamy dużo wiewiórek.

W pogodne dni prawie stale chodzimy na przechadzkę. Najbardziej interesują dzieci wiewiórki, tem bardziej, że te są oswojone. Gdy dozorca w południe stanie w głównej alei, natychmiast zeskakują z drzew wiewiórki: wskakują mu na plecy, na ręce, śmielsze wsuwają łebek do kieszeni.

Musi dać każdej po orzeszku. Jedne z nich, trzymając w pyszczku orzeszek, uciekają na drzewo, inne zagrzebiują go w ziemi i znów wdrapują się na ramię dozorca, by dostać drugi orzeszek, który znów chowają.

To widowisko tyle nam daje wrażeń i przyjemności, że nie możemy się mu dość napatrzeć.

Dzieci lubią przyglądać się żywym stworzeniom, a przyglądając się dzielą się swymi spostrzeżeniami z kolegami i ze mną.

— Wiewiórka choć mała, ale może szybko biegać.

— Wiem dlaczego, bo ma długie nogi, ale tylko tylne, sam widziałem — zauważył jeden sprytniejszy chłopiec.

— Ona wciąż skacze, zawsze jej się śpieszy. — Czy wiewiórka może chodzić, tak jak pies? — Sama małutka, a ogon ma duży.

— Trzyma go zawsze do góry, żeby się nie zaczęł o gałęzie.

— Ładny ma ogon wiewiórka, puszysty, może się nim przykryć, gdy jest zimno — dodają od siebie.

Innym razem (przypadkowo) wywiązała się rozmowa dzieci z dozorcą, który jest dla nas wyjątkowo życzliwy, co robią wiewiórki w zimie.

— Zostają w tym samym ogrodzie, a może niektóre przeniosą się do lasu. Na jesieni w lesie dojrzewają orzechy, to sobie używają i na zimę złożą zapasy w jakiej dziupli — tłumaczył dozorca.

Pytamy się, czy są w parku jakie stare drzewa, gdzie w dziuplach wiewiórki ukryły zapasy.

— Jest takich parę, o których wiem, mają ich tu więcej, tylko tak się z tem kryją, że trudno jest dopatrzeć. Orzeszki, które zakopały, gdy odejdziemy, wykopią i zaniosą do dziupli. Żołędzie też gromadzą.

Dzieci zaczęły prosić, by im dozorca tę dziuplę pokazał. Zgodził się. Był to stary gruby dąb, ale dziupla była za wysoko, by dzieci mogły do niej zajrzeć.

— To jej śpiżarnia, a takich ma kilka, tu znosi orzechy i żołądź, — mówił dozorca — a w zimie przykryje sobie tę dziuplę mchem i ma ciepło.

Wtem przyłożył palec do ust na znak, by dzieci były cicho i wskazał na wysoką gałąź. Wiewiórka trzymała w łapkach szyszkę i ogryzała ją ze wszystkich stron, by dostać się do nasion, które szybko zjadała. Ogromnie to dzieci bawiło. Patrzyły tak długo, aż wiewiórka rzuciła ogryzioną szyszkę.

Innym znów razem, gdy tylko gdzieś niedługo kwiatek został na klombach, gdy większość liści pozółkła, a my jeszcze od czasu do czasu chodziliśmy do Łazienek, dzieci wciąż biegały do wiewiórek. Ile krzyku, radości, gdy które je zobaczyło.

Dozorca zrobił dzieciom wielką przyjemność:

Trzymając wiewiórkę na ręku, pozwolił dzieciom ją głaskać.

— Śliczne futerko! — Ciepłutkie! — odzywały się dzieci.

— A ciepłe — bo zima nadchodzi, wyrastają jej nowe krótkie a ciepłe włoski, a te długie rude wychodzą.

I pociągnął po futerku wiewiórki, a na ręku pozostało mu kilka włosków, pokazał je dzieciom.

Każde dziecko chciało teraz dotknąć tego ciepłego futerka. Miałam ze sobą orzeszki, dzieci dawały je zwierzątkom i były jeszcze bardziej zadowolone, niż wiewiórki.

Odnalazłyśmy ten stary dąb ze śpiżarnią wiewiórki. Widziałyśmy, jak wiewiórka trzymała w pyszczku orze-

szek i jak naraz zginęła nam w dziupli. Gdy dzieci usłyszały suchy trzask gałązek, już wiedziały, że to się uwijają wiewiórki. Podchodziły zupełnie blisko do nas i wcale się nie bały. A gdyśmy położyły na ziemi parę orzeszków — szybko porywały je i uciekały.

Postanowiłam skorzystać z zainteresowania dzieci wiewiórkami i usystematyzować ich spostrzeżenia.

Z obrazków wybrałam kilka drzew iglastych, leszczyne, dąb z żołądziami i zawiesiłam na ścianie. Znalazła się też w tym samym zbiorze obrazków ładna wiewiórka.

Kilka szyszek, uczepionych do gałęzi, zawiesiliśmy na ścianie.

Każde dziecko dostało pieczętkę, wyobrażającą wiewiórkę.

Dzieci przypominały różne rzeczy z parku o wiewiórkach i pieczętki przylepiały (plasteliną) do drzew raz tu, raz tam. Przypominały, jak szybko wdrapywały się na drzewa, jak czepiały się pazurkami o pnie, jak przeskakiwały z jednego drzewa na drugie.

Przypominały, że pazurki ma duże, widziały, gdy wiewiórka trzymała w łapkach orzeszek.

— Może udrapać — mówi któryś chłopiec — jabym się bał trzymać wiewiórkę.

— I ugryźć może...

— O, zęby, to wiewiórka ma dobre, skoro może rozgryźć taki twardy orzech — dodałam.

Ktoś zaproponował urządzenie Łazienek z wiewiórkami.

Wszyscy się bardzo chętnie zgodzili. To dało temat pracy na kilka dni i bardzo absorbowało dzieci. Wycinały z zielonego papieru drzewa, przynosiły cienkie gałązki, które wsuwały do podstawek z gliny, ustawiały aleje, urządzały

stawy, mosty, ławki, klomby z kwiatami a między tem wszystkim — wiewiórki.

Wiewiórki lepily z gliny mniej lub więcej udane. Wąsiki dorabiały ze szczeciny, nie zapomnialy o wystających uszkach i kłitkach na nich, i dużym podniesionym ogonie — słowem wyglądz zewnętrzny wiewiórki doskonale uchwycily.

W rozmowach indywidualnych zatrzymałam się na tem, jak wiewiórka

spędza zimę. Śpi dłużej znacznie i rusza się mało, czasem wyskoczy z dziupli, poskacze, pogrzeje się na słońcu i znów się skryje w dziupli.

— I ogonem się przykryje — do-
dało któreś z dzieci.

— I dziurę zatka mchem.

Po skończeniu wspólnej pracy opowiedziałam dzieciom bajeczkę o wiewiórce „Przygoda małej Rudzi“.

W. Malecka.

W I A T R.

W dni wietrzne. Dzieci po przyjściu do przedszkola opowiadają swoje przeżycia. — Zimno, wiatr szczypie w twarz i pędzi ludzi.—Onby mnie przewrócił, ale się nie dałem. — Sypie piasek w oczy. — Mnie czapkę zerwał, tak daleko „leciała“... i t. p.

Przez szpary drzwi i okien wdziera się do mieszkania, czujemy chłód. Musimy więcej palić, gdy jest wiatr na dworze. Wiatr na jesieni jest zimny: musimy ciepło się ubierać. Dzieci wyglądają oknem: wiatr rzuca papierami i słomą, porusza wodę, wyrzuca parasole, łamie gałęzie... zrzuca z drzew liście. — Co się z nimi dzieje? Kto je zrzuca? Na przechadzce pokazało się, że liście, które przybrały kolory jesienne, łatwiej się odrywają, niż zielone. Wiatr dmie i zrywa liście, które najpierw łatają, a wkońcu spadają na drogi, na ścieżki i tworzą kobierzec żółty, czerwony — bardzo piękny, barwny...

Wiatr szybko popycha chmury. Jest ładnie, naraz wiatr napędzi chmury, robi się ciemno, pogoda się psuje, deszcz pada. Potem znów wiatr rozpędził chmury i słońce się ukazało.

Dzieci, które mieszkają nad morzem, nad dużą rzeką lub jeziorem, widzą nieraz, że wiatr popycha żagle, ale słyszą też, że może wywołać burzę i zatopić łódź, czy statek.

Wiatry bywają tak silne, że zrywają dachy, wyrzucają okna, drzewa z korzeniami. Bywają wiatry zimne, ale bywają też latem łagodne, takie są i przyjemne i pożyteczne: obracają wiatraki i małe wiatraczki, roznoszą nasiona roślin, popychają żaglówki, unoszą latawce, osuszają drogi, suszą bieliznę (wrażenia dzieci z pobytu na wsi, któremi się dzielą), opowiadają, jak można zrobić wiatr, kiedy jest gorąco w pokoju, gdy jesteśmy bardzo zgrzani — wachlujemy się chustką, papierem.

Co należy zrobić, wychodząc na ulicę w dzień wietrzny?

Dobrze się ubrać, pozapinać wszystkie guziki, nasunąć mocno czapkę na głowę. Starsze, rozsądniejsze opowiadają, jak to trzeba podać rękę małym dzieciom, by mogły łatwiej walczyć z wiatrem, gdy całe „przedszkole“ idzie na przechadzkę; a gdy komu wiatr po-

rwie czapkę — należy pomóc mu ją ła-
pać.

Na przechadzce dzieci bardzo lubią
zbierać liście jesienne, które mogą se-

gregować — podług barw, będzie to do-
skonale ćwiczenie spostrzegawczości.

Alicja Kochanowska.

CHRYSTUS W ŁÓDZI.

Pan Jezus chodził po ziemi i nau-
czał.

Pewnego dnia chciał się przedostać
na drugą stronę jeziora, poprosił więc
rybaków, by Go przewieźli.

Pomiędzy rybakami byli też i Jego
uczniowie, ucieszyli się więc, że mogą
usłużyć swemu nauczycielowi, prędko
porwali wiosła i odbili od brzegu.

Dzień był słoneczny, cichy, ciepły.
Łódka spokojnie posuwała się po je-
ziorze. Pan Jezus był bardzo znużony
i wkrótce zasnął.

Z początku wszystko szło dobrze,
szybko posuwała się łódź po gładkiej
powierzchni wody. Ale wkrótce zerwał
się wiatr, na niebie pokazały się chmu-
ry; jezioro zrobiło się czarne, powstały
fale i łódka zaczęła się coraz bardziej
kołysać.

— Będzie burza — powiada stary
rybak.

A wtem błysnęło, zagrzmiało, wiatr
zamienił się w wichr, uderzał raz po-

raz w łódź, która głęboko zapadała, to
się wznosiła — wiosłarze nie mogli so-
bie dać rady z dużymi falami.

Strach ich ogarnął. Już ostatnie si-
ły wydostają w walce z wichrem, a łód-
ka nie posuwa się, tylko buja na falach.
Wkrótce woda zaczęła ją zalewać. A
Chrystus spał spokojnie.

— Panie, ratuj nas! Giniemy! — wo-
łali przerażeni wiosłarze.

Obudził się Pan Jezus, spojrzął na
przestraszone twarze swych uczniów.

— Czego się trwożycie? — zapytał.

Następnie podniósł ręce i spojrzął
na rozhukane jezioro.

Nagle ucichł wiatr, woda się wygła-
dziła na jeziorze, grzmoty umilkły, a
z pomiędzy chmur przedostawać się za-
częły promienie słońca.

I wtedy pomyśleli sobie rybacy, że
próżno się bali, skoro z nimi był Pan
Jezus, któremu i burza i morze są po-
słuszne.

PRZYGODY WIATRU.

Był cudny dzień. Słońce świeciło ja-
sno.

— Doskonały czas na spacer — my-
ślał wiatr. — Ach, jak wesoło się zaba-
wię! Zaraz ruszam w drogę! Żegnaj-
cie!

Wiatr — jak wiatr — ledwie po-

myśli, już wykona. — Kufrów nie pa-
kował, węzełków nie wiązał, — jak
stał, tak ruszył w świat.

— Sz! sz! sz! — świsnął, lecąc po
ulicy. — Czy pójdziesz ze mną? —
krzyknął wesoło do kawałka papieru,
leżącego na chodniku.

Papier podniósł się, podleciał kilka kroków, ale zaraz zmęczony padł na ziemię.

— Hu! hu! hu! Kto polecą ze mną — wołał wesoło wiatr.

Ze wszystkich stron śpieszyli towarzysze: suche listki, skrawki papieru, nawet kilka lekkomyślnych kapeluszy, sfrunęło z głów, śpiesząc z wiatrem na spacer.

— Tak to rozumiem, — wołał wiatr — pojedziemy, jak pociąg błyskawiczny. — Porwawszy kapelusze, podniósł je szybko.

Chęć podróżowania jest widocznie zaraźliwa. Już w ciągu minuty wszystkich w całej ulicy ogarnęło pragnienie: „lecieć w świat! za wiatrem!“

Okiennica zerwała się do lotu, oderwała się od ściany; ale daremnie jej wysiłki, zawiasy trzymają ją mocno, szarpie się, uderza o mur — nie może się oswobodzić.

W otwartym oknie usłyszała wołanie wiatru doniczka z kwiatami. Poleci — dlaczego nie ma zaznać przyjemności podróży? — Niezręcznie jednak zachwiała się raz, drugi, bęc! spadła na bruk.

Ludzie przestraszyli się. Jedni biegli za kapeluszami, inni śpiesznie zamykali okna.

Wiatr jednak wkrótce zrozumiał, że podróżować w licznej towarzystwie nie jest wygodnie.

— Jedni, jak okiennice, nie mogą otrzymać pozwolenia na wyjazd, — inni nie znają drogi. Polecę sam. Na ulicy ciasno — wołę otwartą przestrzeń, polecę za miasto — na pole.

Za miastem chłopcy puszczali latawca, ale nie udawała im się ta zabawa.

— A! latawiec, jak się masz! Co? nie chce latać? Pomogę, namówię go!

Pochwycił latawca i podniósł w górę, wołając:

— Uważnie, wyprostuj ogon! zaczepisz go o drzewo.

Latawiec uniósł się wysoko, a dzieci krzychały z radości.

Wiatr poleciał dalej — do lasu.

Las wydawał się rzadki, wiele drzew stało nagich, na niektórych tylko gdzieś niedługo wisały przeszłoroczne brązowe listki.

— Wietrze, wietrze, weź nas z sobą, bracia nasi leżą dawno na ziemi; skakały, tańczyły nieraz z tobą i my chcemy na ziemię zlecieć.

— Tfu! tfu! tfu! — zadał wiatr i ostatnie liście posypały się na ziemię.

Na leśnej drodze zaczęły się tańce. Polka, mazur, oberek — liście tańczyły, jak chciały, a wiatr prowadził tańce i pięknie pogwizdywał. Natańczywszy się, poszedł dalej.

Na wzgórzu widać było zwałiska zamku.

Wiatr postanowił odwiedzić starego znajomego. O tak, stara to znajomość. Zнали się jeszcze wtedy, gdy zamek był nowym, pięknym, gdy zamieszkiwał go potężny rycerz. Teraz mury zestarzały się, ściany się rozpadały, ani okien, ani drzwi; dziury, szpary, przez które wiatr łatwo dostawał się do wnętrza.

Wpadł, biegał wokół.

— Co to? — spytał nagle — skąd się tu wzięła ta mała sosienka?

Na szczycie wieży rzeczywiście wyrosło małe drzewko.

— Czy mnie nie poznajesz? — spytała choinka — sam mnie tu przyniosłeś, kiedy byłam małym ziarnkiem.

— Ho! ho! ale urosłaś, wypiękniałaś, zmieniłaś się nie do poznania. Szkoda, że nie mogę cię zabrać ze sobą.

I prędko pożegnał ruiny i zleciał z wieży, wdół, na wieś.

Ledwie zjawił się we wsi, wszystko tam ożywiło się i rozweseliło.

Drzewa nisko mu się pokłoniły, a brzoza gałązkami aż zamiotła przed nim ziemię.

— Bywaj! — zawołała bielizna, zawieszona na sznurze i wesoło poleciała z wiatrem.

— Bywaj! — zawołała chorągiewka na dachu i szybko z wiatrem zatańczyła wkoło.

Wiatr chętnieby odpoczął na dzwonnicy, porozmawiał z kogutem, ale za ledwie zaczął coś szeptać, dzwony uderzyły mocno, rozmawiać było niepodobna, głużyły opowiadanie wiatru, to też szybko pożegnał się z kogutem i pobiegł na łąkę, gdzie dojrzał wesołe ognisko. Śpiesznie dmuchnął w płomień. Pastusi z przerażeniem odskoczyli, jednemu o mało nie zajęło się ogniem ubranie. Wiatr rzucił mu dym w oczy i w gardło, trochę dymu porwał i poniósł aż do wsi, potem dmuchnął baranom między sierść.

— Jakie te owce podobne do moich białych obłoków na niebie.

Obłoki były jego ulubionymi towarzyszami zabawy, podniósł się też szybko w górę, wpadł między nie, pomieszał je, popędził naprzód — ale nie zabawiał się z nimi długo, wnet bowiem dojrzał na wzgórzu wiatrak, przyjaźnie ku niemu wyciągający ramiona.

— Ach, wiatrak, wiatraczek, zakręćmy się wkoło.

Chwycił nagle za skrzydła wiatraka, zaczął niemi kręcić tak prędko, przeciotko, aż stary wiatrak jęknął. A chociaż psotnik odleciał, to skrzydła wiatraku jeszcze obracały się. Młynarz cieszył się z tej zabawy, bo gdy wiatr

kręcił skrzydłami wiatraku, koła młyńskie obracały się i męły mu mąkę.

Okolica była równa, naokoło leżały szerokie pola, łąki, a wśród nich błyszczały małe stawki, ciche, spokojne; zdawało się, że woda w nich drzemała.

— A to śpiochy, śpią nawet w dzień, gdy jasne słońce świeci.

Dmchnął na powierzchnię wód, woda drgnęła, zakolysała się, przebiegły po niej drobne fale. Staw ożył.

— Czy daleko do morza? — zapytał wiatr.

— Niedaleko, bardzo niedaleko.

Usłyszawszy to, wiatr poleciał ku morzu. Musi tam jeszcze dziś dolecieć, obiecał swoim przyjaciółkom, łodziom żaglowym, ułatwić podróż po morzu. Słyszy już cichy szepc fal. Przed nim szerokie, bezbrzeżne, okiem nieobjęte morze. Fale większe niż na stawach, biegają po jego powierzchni, gonią się. Wiatr chciał wziąć udział w tej zabawie, zaczął silnie kołysać falami, dmąc jednocześnie w płótno żagli.

— Dobrze, że wiatr przyszedł, — mówiono na łódkach — zaraz szybciej pojedziemy.

Wiatr, ucieszony takim przyjęciem, dmuchnął jeszcze mocniej, żagle wydeły się silniej, maszty aż zatrzeszczały, a fale podnosiły się i opadały gwałtownie, rzucając łodziemi na wszystkie strony. Na łodziach wszczął się popłoch.

— Wczoraj — opowiadał jeden z rybaków — przy brzegach wyspy wiatr połamał maszty, pchnął łódź na skałę, zatopił całą załogę. Oby dziś nie było nowego nieszczęścia!

— To straszne, — pomyślał wiatr — to musiała zrobić moja siostra — burza, lub brat — huragan. Oni często ludziom szkody wyrządzają.

Przeraziwszy się, wiatr uciekł z nad morza — a fale wnet cichły i układały się spokojnie.

Ściemniło się już. Nad brzegiem, wśród ciemności świeciło małe światełko w oknach chaty. Miłe światełko. Wiatr zastukał w to okno — zamknięte; uderzył w drzwi — napróżno. Wiatr wbiegł na dach, wskoczył do komina. Ogień rozżarzył się nagle, jaśniej oświetlił izbę.

Izdebka była małeńka — ale czysta i ciepła. Pod ścianą siedziała kobieta, poruszała nogą kołyskę, śpiewała piosnkę. Było tu miło i dobrze. Nagle skrzypnęły drzwi chaty. Wszedł rybak, ten

samego, którego łódź wiatr kołysał na morzu. Wszedł zmęczony, ale na widok matki i dziecka, twarz mu się rozjaśniła. Powitał żonę, popieścił dziecko, siadł za stołem zaczął opowiadać o wietrze, o gwałtownej fali, o minionem niebezpieczeństwie. Kobieta słuchała z przerażeniem oczyma. Wiatr, cicho przytuliwszy się do komina, słuchał także.

N. N.

Od Redakcji.

Wychowawczynie winna opowiadać dzieciom, podzieliwszy opowiadanie na fragmenty.

W I C H E R.

Strasznie się rozdokazywał wicher.

Drzewa w lesie z początku pobłażliwie na niego patrzyły ale wkońcu, gdy przebrał miarę, zaczęły się niecierpliwić.

Świerk nasrożył się surowo, dąb odpychał; osina prosiła, żeby już dał spokój, ale wicher nie przerywał swoich wybryków.

— Widzisz, — pawiada do sroki — jak sobie z nikogo nic nie robię.

I pchnął brzozę tak gwałtownie, że ta o mało się nie przełamala.

Wkońcu do tego stopnia wszystkim nadokuczał, że drzewa straciły cierpliwość i poczęły tak głośno szemrać, że wiatr się zląkł i uciekł w pole.

Po drodze dmuchnął w srokę, o mało nie spadła z drzewa.

— Nie zaczepiaj mnie, — pawiada ptak — bo będzie kwita z przyjaźnią.

— Pożartowałem jedynie, chciałem ci w locie dopomóc. Skoro nie chcesz, to dam pokój.

I poleciał.

Po drodze pozrywał główki badyłom, pooblamywał gałązki krzakom, wypłoszył zajaca z kotlinki... aż wpadł wkońcu do wioski.

Na dachu znów spotkał srokę.

— Powiedz mi, przyjacielu, — pyta sroka — dlaczego tyle broisz?

— Dlaczego? Dlaczego... nie wiem sam... bo lubię...

— A czy nie uważałeś, że ludziom krzywdę wyrządzasz?

— Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tem... Ale, zdaje mi się, że chcesz morały prawić... Ot, lepiej patrz: Bartek do chałupy wraca, trzeba iść powitać gospodarza.

Zsunął się wicher z dachu i jednym dmuchnięciem czapkę zerwał chłopu.

Goni ją biedny Bartek, zmęczył się, zasapał, nim czapkę złapał.

A tymczasem wicher do kapoty jego się zabrał: podnosi poły do góry, parę guzików nawet rozpiął. Co Bartek

przytrzyma sukmanę, to mu wicher znów czapkę zrywa! Morduje się człeczyna, ale ustąpić nie chce.

Aż gwizdnął wicher ze złości.

— Czekajno — pomyślał — ja cię nauczę.

I nuż z przodu dmuchać zaczął, a tak mocno, że Bartka prawie przewraca.

— Patrz-no, kumo — powiada wicher, zwracając się do sroki — teraz najciekawsza chwila nastąpi, zaraz obalę chłopa na ziemię.

Odwraca się wicher, a tu niema chłopa. Pędzi naprzód — ani śladu. Co się stało? gdzie zgubił Bartka?

Zawstydził się bardzo wicher; szczególnie przykro mu było, że sroka nasmiewała się, patrząc na to wszystko.

Więc uciekł w szczeliny gór i tam pozostał.

Bartek ukrył się w wąwozie i czekał, nim się wicher uspokoił, a teraz wyszedł i idzie dalej swoją drogą.

N. N.

G R Y I Z A B A W Y.

WIATR JESIENNY.

Zabawa może się odbywać na dworze, w ogrodzie lub w większej sali. Jedno z grających dzieci zostaje wiatrem — pozostałe dzieci będą liśćmi i tworzą koło. — Wiatr pozostaje stale w środku koła — biega i od czasu do czasu wydaje dźwięk hu! hu! cicho — lub głośno. Na ciche „hu“ dzieci obracają się dokoła siebie — na głośne biegają po całej sali — i padają na ziemię i leżą, dopóki wiatr nie ucichnie.

Chcąc, by głos wiatru był donośniejszy, wiatr może mieć rurkę papierową.

LIŚĆ W POWIETRZU.

Dzieci podzielone na małe grupy tworzą kółeczka. Każde kółko otrzymuje suchy liść, który utrzymują w powietrzu przez dmuchanie. Wygrywa to kółko, które najdłużej utrzyma liść w powietrzu.

JABŁKA W KOSZU.

(Gra towarzyska).

Jedno z dzieci zostaje Marcinową-ogrodniczką. Duże koło nakreślone kredą na ziemi oznacza kosz z jabłkami.

Wszystkie dzieci stoją w kole.

Na krzyk Marcinowej: „Ach, jabłka mi się rozsypały“ dzieci rozbiegają się na wszystkie strony. Marcinowa je goni, usiłując dotknąć ręką. Jeśli jej się uda, „jabłko“ samo musi iść do „kosza“.

Gra się kończy, gdy wszystkie dzieci wrócą do „kosza“.

Jeśli dzieci jest więcej, ogrodniczka może przyjąć do pomocy jedno lub dwoje.

BRAT I SIOSTRA.

— Siostrzyczko, na dwoje
Jabłuszko rozkroję,
Połowę ci dam,

— Znam twoje serduszko,
Lecz małe jabłuszko,
Zjedz, braciszku, sam.

— O, tego nie zrobię!
Ja muszę dać tobie,
Piękny byłby brat!
Cóżby powiedziano,
Gdyby też wiedziano,
Żem sam jabłko zjadł.

S. Jachowicz.

NA ZIELONEJ ŁĄCE...

POSTACIE:

Kasia, Gąski (ilość dowolna) i Lis, z Lis, Burek (pies), Chór (ilość dowolna), i Głos z chóru.

(Tło jasna ściana, albo zielone firanki — dekoracja albo wycinankowa, albo ustawiona z roślin, gałęzi. Chór stoi na boku sceny. Za sceną słychać śpiew chóralny Gąsek — melodia — krakowiak albo oberek).

SPIEW.

Na zielonej łące
Pasie Jaś zające,
A Marysia pawie
Na zielonej trawie.

(Z ostatnim wierszem piosenki Gąski wchodzi na scenę, Kasia pogania je zieloną gałązką).

CHÓR.

Wiodła gąski hen, ku wodzie
białe i siodlate...
Aż tu drogą jej zabiegły
dwa Liski kosmate...

(Podczas ostatnich dwu wierszy wbiegają dwa Lisy).

CHÓR.

Jeden Lisek machnął kitą
i grzecznie zagada:

I LIS.

A nacóż ci, moja Kasiu,
ta cała gromada?
Te gąseczki, Kasiu miła,
Oddaj mi w opiekę,
Poprowadzę je bezpiecznie
na tę siną rzekę.

CHÓR.

Drugi Lisek spojrzał krzywo.

Z LIS.

Cóż dla mnie zostanie?
Ja chcę także Gąski wodzić.

I LIS.

Nic z tego, mój panie!

Z LIS.

Weź połowę, a ja drugą.
No, cóż, godzisz się?

I LIS.

Ja chcę wszystkie.

Z LIS.

Nie, nic z tego,
Połowę dasz mnie.
(Oba Lisy przyskakują do siebie grożąc i warcząc).

CHÓR.

Oba Liski wnet do siebie
skoczą z pazurami,
Skrzą się ślepią, warczą groźnie
i błyskają kłami...

GŁOS.

Gąski w krzyk:

GĄSKI.

Nie chcemy wcale
tej opieki waszej!
Gę! gę! Kasia jest tu z nami,
nic nas nie przestraszy.

OBA LISY.

My się pytać nie będziemy!

GŁOS.

Mówią Liski oba.

OBA LISY.

A Kasi się nie boimy.
Też ważna osoba!

CHÓR.

Aż tu Kasia skoczy śmiało,
swą gromadkę zgania...

(Kasia zgania Gąski i staje przed
niemi z rozpostartymi rękoma).

KASIA.

Nie ruszycie moich gąsek!

CHÓR.

Sobą je zaślania.

KASIA.

Nie ruszycie!

I LIS.

Aha, właśnie!

2 LIS.

Wraz cię posłuchamy!

KASIA *(do gąsek)*.

Schowajcie się, nie dajcie się!

(Gąski ustawiają się za Kasią, jed-
na za drugą, od większych do mniej-
szych, trzymając w pół jedna drugą).

GĄSKI.

My się też nie damy!

(Teraz Lisy zabiegają z obu stron,
starając się pochwycić którąś Gąskę).

CHÓR.

Biegną w lewo, skoczą w prawo,
To z tej, to z tej strony,
Już chwytają! Kasiu, Kasiu!
Nic z twojej obrony!

GĄSKI.

Ojoj!

CHÓR.

Krzyczą te najmniejsze,
od samego końca.

GĄSKI.

Ojoj, Kasiu, wołaj Burka,
toć to nasz obrońca!

CHÓR.

Haf! haf! słyhać od zagrody

GŁOS.

Już Burek nadbiega...

(Wbiega Burek).

BUREK.

Haf! haf! Wnet wam zszarpię kudły!

I LIS *(układnie)*.

Wcale nie potrzeba.

Myśmy chciały pomóc Kasi...

BUREK.

Znam ja was hultaje!

Uciekajcie w las!

(Lisy uciekają).

CHÓR.

Ruszyły

prosto na zagaje.

GŁOS.

Ej, zmykają chytre liski.

Wieżą rude kity...

CHÓR.

Huż ha! Huż ha! Jeden z drugim

Ucieka jak zmyty.

(Kasia popędza Gąski, które usta-
wiły się przed nią. Idą wokoło sceny).

CHÓR.

Idzie Kasia po wygonie
przed nią Gąsek stadko...

KASIA.

Pilu, pilu, moje Gąski,
kochana gromadko.

(Gąski chodzą wokoło i śpiewają,
przy ostatnim wierszu piosenki albo
wychodzą, albo zasuwa się zasłona).

ŚPIEW.

Na zielonej łące

pasie Jaś zające,

A Marysia pawie

na zielonej trawie.

Wycięła pawika

w ogonek niechący,

uciekł jej pawiczek

do lasu krzyczący.

OBJAŚNIENIA.

Wobec coraz częstszego organizowania świetlic przy przedszkolach — do których uczęszczają „absolwenci“ przedszkoli, inscenizacja ta może być odegrana przez swych świetliczan dla dzieci z przedszkola.

Inszenizacja może być wykonana na prawdziwej łące, na trawniku w ogrodzie i t. p.

Kasia w jakimkolwiek ubraniu ludowym powinna być najwyższa.

Gąski od większych do najmniejszych.

Sukienki albo koszulki białe, na głó-

wie przez czoło opaska z przymocowanym czerwonym dziobem z kartonu sztywnego. Głowa okryta przylegającą czapeczką białą z bib. karb. Z takiejże bibuły można zrobić wycięte w duże zęby skrzydła, przyczepione do boków sukienki i do rąk. Można też stopy pokryć wyciętymi z czerwonego papieru jakby stopami gęsi z pletwami.

Lisy—czapki rude z uszkami i górną częścią pyszczka. Ogony zwisające, puszyste, z ciętej bibuły.

Burek—szara czapka z uszami zwisającymi i pyszczkiem, ogon zakręcony z bibuły na drucie.

M. Gerson-Dąbrowska.

W I E R S Z E.

NA GRZYBY.

Mokry wrzesień, ciepły wrzesień —

Grzyby wartko rosą.

Ten-ci przysiadł pod smereczkiem,

A ten-ci pod sosną.

Tu prawdziwek, rosa na nim

Kroplami srebrnymi,

— Bracia moi, a wyłaźcie

Co żywo z pod ziemi —

Rosi deszczyk, liczy grzybki,

Zliczyć ich nie może

Zliczą je te pastereczki,

Co brodzą po borze.

J. Porazińska.

PSOTA.

(wychowawczyni powie przy okazji dzieciom).

A ta siwa chmurka

Drobnym deszczem ciurka, ciurka...

Drżą traweczki po pas w wodzie,

Drży osina w mokrym chłodzie.

Wiatr przegonił po polanie

I te śmiechy i śpiewanie.

Oj ty psoto, brzydka psoto,

Czy kto ciebie prosił o to?

Pastereczki siedzą w rzędzie,

Ano, społem ciepłej będzie,

Przycupnęły tuż nad drogą,

Otulają się, jak mogą.

A ta siwa, a ta chmurka,

Drobnym deszczem ciurka, ciurka.

J. Porazińska.

DESZCZ.

Oj, pada deszcz, pada —

Będzie chodzić ślisko.

A ja nie dbam o to,

Do przedszkola blisko.

Blisko, czy nie blisko,

Deszcz mnie nie zaleje,

Słoneczko poświeci,

Wietrzyk mnie owieje.

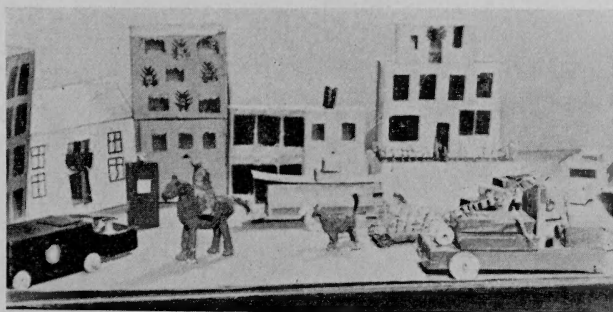
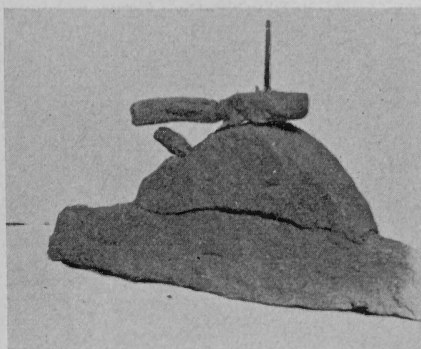
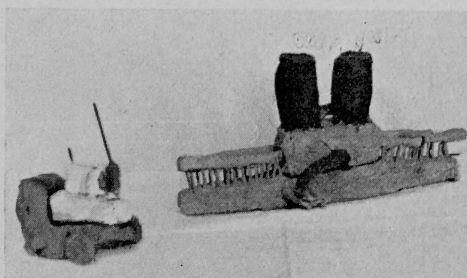
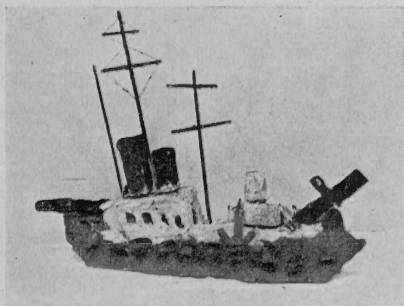
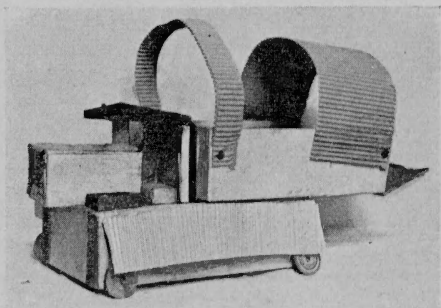
T. Lenartowicz.

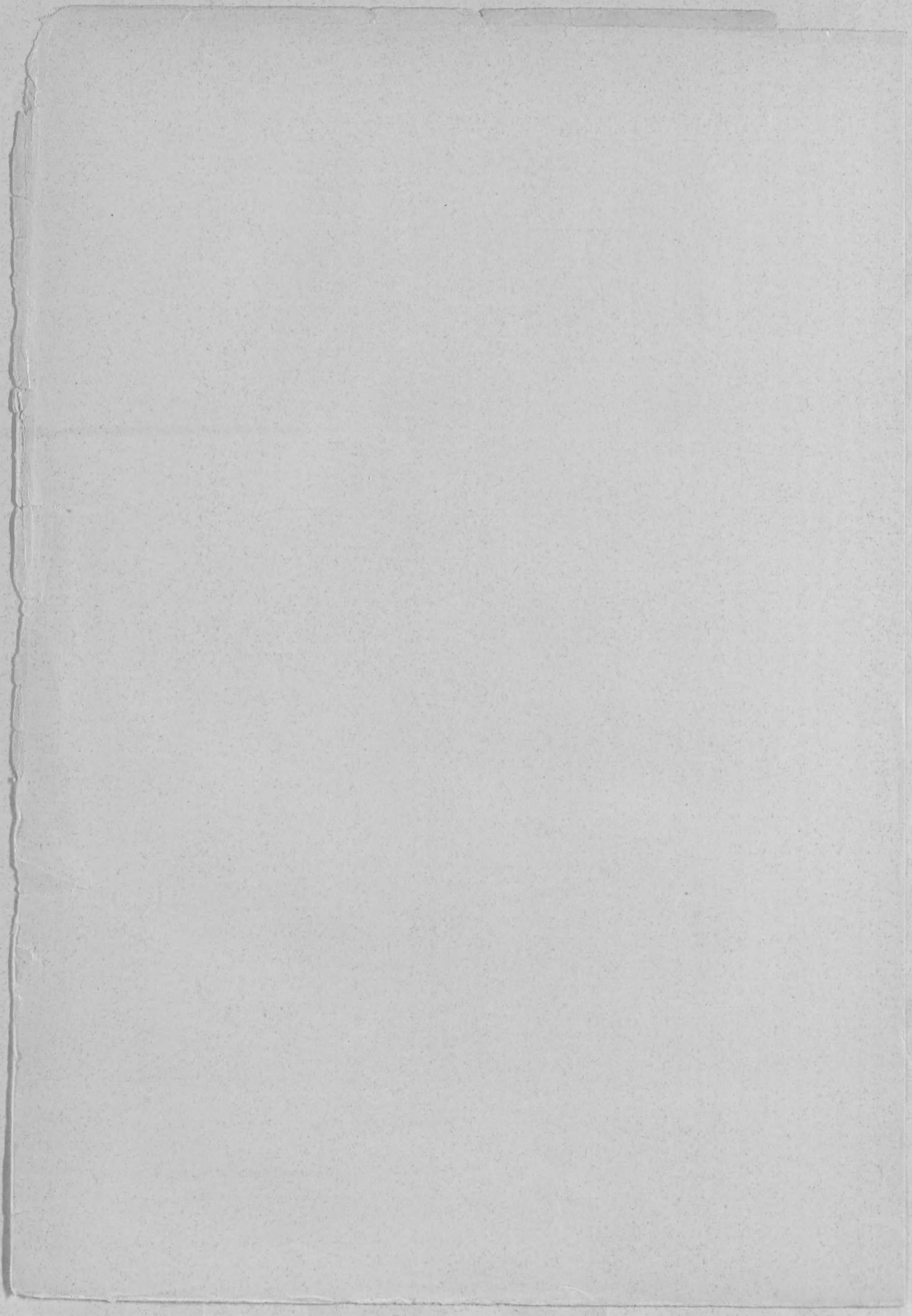
OD REDAKCJI.

Należność za prenumeratę „Wychowania Przedszkolnego“ prosimy przesyłać za pośrednictwem P. K. O. Nr. 12680. We wrześniu i październiku Administracja pisma (Aleja 3 Maja 16 m. 6) przyjmować będzie we wtorki, czwartki i soboty od godziny 10 — 12.



Do artykułu Ireny Chróścickiej p. t. „Zajęcia praktyczne dzieci”.





W REDAKCJI NABYĆ MOŻNA NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

<i>K. Konarski</i> – BAJKI I POWIĄSTKI	0.40 gr.
<i>M. Weryho</i> – RÓŻNE PRZYGODY	0.30 gr.
– – CO SŁONKO WIDZIAŁO	2.50 gr.
– – LAS	3. – zł.
<i>M. Weryho-Radziwiłłowiczowa</i> — METODYKA WYCHOWANIA PRZEDSZKOLNEGO dla prenumeratorów 4 zł. 30 gr.	

OBRAZKI SCENICZNE DLA MAŁYCH DZIECI

Cena 1 zł., z przesyłką 1 zł. 25 gr.

Roczniki i komplety Wychowania Przedszkolnego sprzedaje Administracja po cenach następujących:

Rocznik I — 1925 — brak I numeru	zł. 2.—
” — 1926	zł. 2.—
” — 1927	zł. 2.—
” — 1928	zł. 2.—
” — 1929 — brak I, II i IV numeru.	zł. 2.—
” — 1930	zł. 2.—
” — 1931 — brak I numeru	zł. 2.—
” — 1932	zł. 2.—
” — 1933	zł. 2.—
” — 1934 — brak II numeru	zł. 5.—

WYCHOWANIE PRZEDSZKOLNE

WYCHODZI RAZ NA 2 MIESIĄCE

PRZEWODNICZĄCA KOMITETU REDAKCYJNEGO

MARJA WERYHO-RADZIWIŁŁOWICZOWA

CZŁONKOWIE KOMITETU REDAKCYJNEGO:

HELENA CZERWIŃSKA, Dr A. JURJEWICZÓWNA, HELENA
GIRTLEROWA, MARJA MITKIEWICZOWA,
WANDA KOTARBIŃSKA, ANTONINA POMIANOWSKA.

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE		NA PROWINCJI	
Rocznie	Zł. 8.—	Rocznie	Zł. 9.—
Półrocznie	„ 4.—	Półrocznie	„ 4.50
Numer pojedynczy Zł. 1.50			
Cena ogłoszeń: Cała strona Zł. 70.—, 1/2 str. Zł. 40.—, 1/4 str. Zł. 20.—			

S P I S R Z E C Z Y

Myśli przewodnie mojej metody	<i>M. Montessori</i> <i>przekład Elesty</i>
Ludzie zabawy	<i>Włodz. Skłodowski</i>
Chód i bieg	<i>E. Podgórska</i>
Roboty z nieużytków i materiałów roślin- nych	<i>Jan Mazurek</i>
Zajęcia praktyczne dzieci (z ilustr.).	<i>Irena Chróścicka</i>
Wrzesień	<i>M. Sidorówna</i>
Wiewiórki	<i>W. Malecka</i>
Wiatr	<i>Alicja Kochanowska</i>
Chrystus w łodzi
Przygody wiatru	<i>N. N.</i>
Wicher	<i>N. N.</i>
Gry i zabawy: Wiatr jesienny
Liść w powietrzu
Jabłka w koszu
Brat i siostra	<i>S. Jachowicz</i>
Na zielonej łące...	<i>M. Gerson-Dąbrowska</i>
Wiersze: Na grzyby	<i>J. Porazińska</i>
Psota	<i>J. Porazińska</i>
Deszcz	<i>T. Lenartowicz</i>
Od Redakcji

Drukarnia Zakł. Wydawn. M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.